TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Zdzisław Czermański
Witold Hulanicki
Victoria Janda
Jan Lechoń
Feliks R. Labuński
Mieczysław Pruszyński
Jan Rostworowski
Tadeusz S. Wołkowski

No. 51 — Nowy Jork, 19 grudnia, 1943 — New York, 21, N. Y., December 19, 1943 — Cena 10 ct.

Do Czytelników

Niemal w przededniu pierwszej rocznicy "Tygodnika Polskiegi" — jak pisaliśmy już o tem w poprzednim numerze — wydawnictwo nasze stanęło przed decyzją przełomową. Pierwszy rok naszej pracy minął wśród borykania się z licznemi trudnościami. Wszystkie te troski znosiliśmy z gotowością, widzieliśmy bowiem, jak pismo z coraz większem powodzeniem spełniało swoje zadanie, jak stopniowo ogarniało coraz szersze zastępy czytelników i coraz dalsze ośrodki emigracji polskiej. "Tygodnik Polski" bowiem dociera nietylko do wszystkich stanów Ameryki, lecz jest czytany przez emgrację polską na wszystkich niemal kontynentach. Jesteśmy dumni z tego, że mamy stałych czytelników w Australji i Szkocji, w Afryce, w Ameryce Południowej i Kanadzie, na Bliskim Wschodzie a nawet w Indjach.

Mimo że liczbowo rozwój "Tygodnika Polskiego" przedstawia się wciąż jeszcze skromnie, co zresztą w stosunku do tego rodzaju pisma należało przewidzieć, podstawy jego są niewątpliwie zdrowe. Świadczy o tem przedewszystkiem stały wzrost abonentów.

Nikt jednak nie mógł przypuszczać, abyśmy, szczególnie w pierwszym okresie rozwoju, mogli obyć się bez pomocy finansowej, stając do nowego, trudnego warsztatu z pustemi rękoma. W zrozumieniu znaczenia naszej działalności, udzielił nam tej pomocy były dyrektor Polskiego Centrum Informacji, profesor Stefan Ropp. Teraz zaś odmówił nam jej minister Informacji i Dokumentacji Rządu Polskiego w Londynie, profesor St. Kot, od którego Centrum nowojorskie jest zależne.

Jest to cios dla szczupłej grupy pisarzy na wygnaniu przykry. Znaczenie bowiem tej ministerjalnej decyzji nie wyraża się w cyfrach, lecz nadewszystko w kategorjach moralnych.

Tem postanowieniem, powziętem przy biurku urzędniczem, odbiera się pisarzom ich warsztat pracy, odgradza od patrjotycznych rzesz uchodźców i Polonji amerykańskiej, przerywa się duchowy kontakt z żołnierzem polskim i żołnierzem amerykańskim pochodzenia polskiego.

Gdyby decyzja p. min. Kota miała być rozstrzygająca pisarz polski musiałby wegetować tak jak w pierwszym okresie zamętu emigracyjnego, wyzbyty tego, co jest warunkiem i potrzebą jego pracy: własnego czytelnika.

Decyzja ministerjalna nie zniechęci nas jednak i nie skłoni do zaniechania naszej pracy. Mieliśmy i mamy wiele powodów, by wierzyć, że w trudnej chwili, kiedy wkraczamy na samodzielną drogę, usianą troskami i kłopotami finansowymi, nie zawiedzie nas społeczeństwo polskie i że czytelnicy nas nie opuszczą.

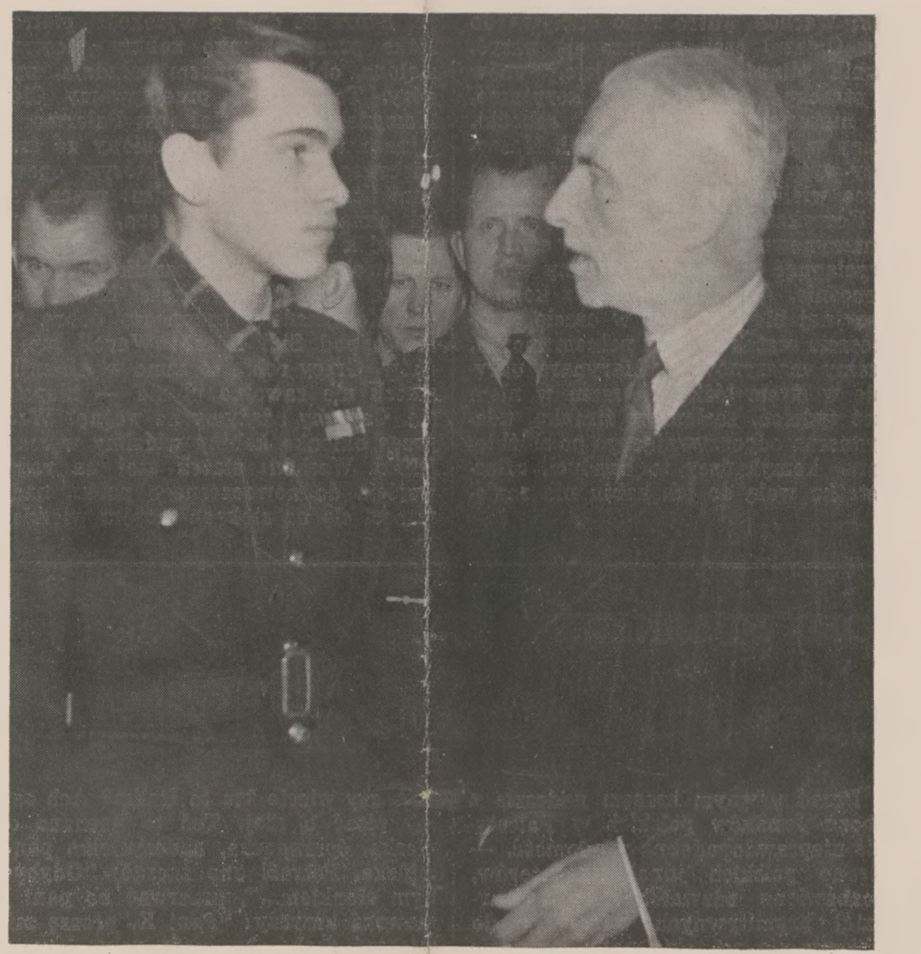
Żywym oddźwiękiem naszej działalności były i są setki listów od naszych czytelników, pełne serdecznej zachęty. Te listy właśnie upewniały i upewniają nas, że jesteśmy potrzebni i że szerokie rzesze Polaków nas rozumieją i z nami sympatyzują. Przechowujemy je troskliwie w tekach jako najcenniejszą naszej działalności nagrodę.

Rozmaitość tych listów jest naprawdę zdumiewająca. Są między nimi ciepłe słowa życzliwości, ze wszystkich stron świata przesyłane przez oceany i lądy. Otrzymywaliśmy je od uchodźców i żołnierzy polskich, co jednak największą napawało nas radością — większość z nich pisali Polacy amerykańscy ze wszystkich stron Stanów Zjednoczonych, robotnicy, lekarze, przemysłowcy, kupcy, księża, siostry zakonne, adwokaci. W ostatnich miesiącach kolekcja nasza zbogaciła się garścią listów, cennych szczególnie. Z różnych, nieraz bardzo oddalonych obozów wojskowych zaczęli pisywać do nas żołnierze amerykańscy pochodzenia polskiego. Miało się wrażenie, że pod wpływem wypadków wojennych ocknęło się w nich poczucie powinowactwa narodowego z Polską. Pisane nieraz w prymitywnej polszczyźnie, częściej jednak po angielsku, listy te wyrażały życzliwość dla naszej pracy, pragnienie czystej polskości, prosiły o artykuły i książki o Polsce w języku angielskim, dla uświadomienia kolegów w kompanji.

Jesteśmy przeto głęboko przeświadczeni, iż tej pracy przerywać nam nie wolno. Wiemy pozatem, iż nasi czytelnicy wraz z nami zrozumieją jej potrzebę i nieodzowność. Nie wierzymy, aby pięciomiljonowa rzesza Polaków żyjących w pomyślnych warunkach nie zechciała utrzymać jedynego polskiego pisma literackiego na tym kontynencie, kiedy w Polsce niszczą barbarzyńcy cały nasz dorobek kulturalny.

Dlatego apelujemy do naszych czytelników, aby nas nie odstąpili i aby zyskiwali nam nowych abonentów. Dla podtrzymania pisma byliśmy zmuszeni podnieść dotychczasową, niską cenę rocznej prenumeraty do 7 dolarów. Uprzejmie prosimy o rychłe przesłanie należności abonamentowej na rok 1944.

Od najbliższych numerów począwszy będziemy ogłaszali listę sponsorów "Tygodnika Polskiego". Na listę tą będziemy wpisywali nazwiska tych czytelników, którzy pośpieszą nam z pomocą przez wpłacenie sumy 20 dolarów lub więcej. Czekamy Waszego odzewu!



BOHATER Z CHICAGO

Podczas zjazdu ochotników amerykańskich, służących w wojsku polskiem w Anglji, Prezydent Raczkiewicz wyróżnił szczególnie st. sierżanta Bronisława Godlewskiego z Chicago, Ill.

Sierżant Godlewski, lotnik polski, odznaczył się bohaterstwem podczas nalotu bombowego na Essen. Ciężko ranny w tej walce, postradał obie ręce, które musiano mu amputować.

Sierżant Godlewski odznaczony został najwyższym orderem polskim Virtuti Militari, dwukrotnie Krzyżem Walecznych, angielskiemi dekoracjami D. F. M. i A. F. M., oraz amerykańskim medalem "Purple Heart."

Na zdjęciu widzimy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Władysława Raczkiewicza z sierżantem Bronisławem Godlewskim.

JAN ROSTWOROWSKI

TO A FOREIGNER

If you ask why and for what reason
Till now the streets of Warsaw are bleeding with wounds
Till now the homeless people look into the dark sky
Over the fearstricken Vistula, over berumbed Niemen
If you ask why the children of that land
Were tragically sleeping about Gdynia and Lwów
Or the defencelessness of youth and the impotence of naked hands
Borne into prison-camps with terrible unpunished crime,
If you ask further about the fate of those, whose
Young heads sheltered from the Polish storm
They counted the frontiers crossed in the night
To reach there where the standards of freedom flew,
Surprised foreigners, behold I reply to you:
They perish to say to the Motherland "Thou art our health"
When the grasses rock on the morning wind
With an incense-fragrance of a village church
And nobody plucks these grasses with a stupid hand,
When in the Autumn sunshine people go after the coffin
In esteem of the dead man's years of quiet toil.
And nobody drags out crushed bodies of children from ruins
When in corners, heated by the warmth of delight
The young generation listen to the fairytales of old folks
And do not know the empty places, where bullets have splintered
The last fist and burned the last ray of the soul.
When a tree is a hymn to the sky, spread out,
When each leaf in the wind whispers — "Holy, holy"
And nobody fetters branches with hempen rope
Sneering — "Nation! up and save your eaglets hanging there"
When the blood is the flower of the body, not torn with the pain
Of each page turned over in the flames of the war.
Surprised foreigners, if now still you ask
Why the Pole so beautifully dies
What have I to say? God evidently does not let all
Take the Sacrament of Sorrow from hands droven through with nails.

Transl. literally by E.Bentley-Skwierczyńska.

VICTORIA JANDA

THE HERRITAGE

No man may love the beauty of his race
Unless he know the path by which he came,
Unless he knows that blood washed hallowed place
Where histories of the ages call his name;
Where footsteps of his fathers traced the soil
From sun's arising to the last moon's wane,
With hieroglyphics attesting the toil
Of harvesting and sowing of the grain.
O knowledge born of beauty, bearing love,
O three fold priceless heritage of man,
Man fit to arm and wear the bright shield of
Wisdom — and walk among her royal clan —
Unless he touch his fingers to the pain
Can man have knowledge — nor be born again.

JAN LECHOŃ

NIE MOŻEMY MILCZEĆ

Rezultaty konferencji odbytej w Teheranie, która ze zwykłą Sowietom elegancją przedstawiona jest przez nich jako wizyta złożona Stalinowi przez Prezydenta Roosevelta i Churchilla w Ambasadzie Sowieckiej — spowite są tajemnicą znacznie przekraczającą dyskrecję, niezbędną w takich wypadkach ze względów strategicznych i dyplomatycznych.

Prawdziwy bunt dziennikarzy, którzy niczego dowiedzieć się nie mogli o przebiegu narad od swoich urzędów informacyjnych, jest wymownym obrazem atmosfery w jakiej przywódcy trzech wielkich mocarstw obradowali na tematy obchodzące nietylko ich obywateli, ale i miljony obywateli innych walczących za wolność narodów. Ta niepokojąca tajemniczość, nie pozwalając nam przeniknąć za kulisy teherańskiego spektaklu, którego kulminacyjną sceną było ofiarowanie Stalinowi pamiątkowej szabli i fotogeniczny pocałunek złożony przez tego cywilnego marszałka na jej klindze, owo niepokojące milczenie o tem, co się naprawdę w Teheranie stało, skazuje opinję na komentarze i domysły publicystów, mających słuszne prawo do jej zaufania i na samodzielną egzegezę deklaracji teherańskiej. Egzegeza owa może niestety wzmóc tylko obawy obudzone przez iście wschodnią tajemniczość teherańską i jakiekolwiek dawanoby nam po kątach zapewnienia i uspokojenia, dokument perski komentowany według zwykłego zdrowego rozsądku pozwala nam przeczuwać, że nasza sprawa poniosła na tej konferencji zamaskowaną klęskę.

Pierwsza myśl, jaką ta egzegeza nasuwa, tyczy się nietylko owego, od tak dawna oczekiwanego zjazdu, ale każe ogarnąć wstecz trzy lata wojny od chwili, w której Niemcy napadli na swego sojusznika, Rosję Sowiecką, i rozważyć całą politykę, która do tego zjazdu doprowadziła, a której wyrazem są trzy tylko podpisy, przedstawiające trzy tylko państwa, podczas gdy "modlitwa perska" tyczy się losów wszystkich Narodów Zjednoczonych.

Ten fakt nie jest tylko w sprzeczności formalnej z ideą Narodów Zjednoczonych, jest on z nią także w obecnej chwili w sprzeczności istotnej. Bo, [illegible] co chcemy mówić o jedności tych narodów, nie wiem jak pragnąc na zewnątrz ją podkreślać, nie zdołamy przecież nikogo ani siebie oszukać. aby nie było żadnych kwestji spornych między sprzymierzeńcami, — więcej aby te kwestje sporne były tylko mało ważnymi epizodami podczas gdy wszyscy wiemy, że od ich rozstrzygnięcia zależy pokój i przyszłość świata. Między Polską, która cierpi jak żaden inny naród za opór, jakiemu równego żaden naród Niemcom nie stawił, a Rosją Sowiecką, która współdziałała z Hitlerem w napaści na Polskę i w prześladwaniu Polaków, istnieje spór wprawdzie tylko graniczny, ale decydujący o przyszłości Polski i — my to wiemy — o przyszłości świata.

W tym sporze premjer rosyjski, jeśli słowo "Narody Zjednoczone" nie ma być pustym dźwiękiem, nie może być arbitrem. Nie może on podpisywać niejako ich imieniem pięknie brzmiącej deklaracji, gdyż sam jego podpis nadaje jej ironiczny charakter w oczach tych wszystkich, którzy wiedzą czem jest wolność w Rosji i jaką to wolność przyniosły Sowiety do Kowna, Wilna, Talina, Rygi i Lwowa.

Kryterjum siły militarnej, które stało się jedyną podstawą hierarchji w Narodach Zjednoczonych, i które nakazuje oczywiście najściślejsze i stałe porozumienie sztabów generalnych Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanji i Sowietów, nie może mieć tej samej wagi tam, gdzie chodzi o organizację pokoju, w której zainteresowane są wszystkie Narody Zjednoczone.

Górnolotny styl deklaracji teherańskiej, piękne słowa, które ona za podpisem Stalina głosi, oznaczają — mógłby ktoś przypuścić — nawrócenie się Sowietów na demokratyczną wiarę, wyrzeczenie się przez nie zaborów, zwycięstwo Roosevelta i Churchilla; napewno też jest intencją Stalina aby tak była ona tłumaczona i dlatego nie żałował on sobie w tekscie "krasnych słowców" z których za plecami prez. Roosevelta i Churchilla śmieje się w kułak. Gdyby jednak rozmowy w Teheranie naprawdę taki przyniosły rezultat, tych właśnie pięknych słów nie byłoby potrzeba używać; wystarczyłoby powiedzieć poprostu, że Sowiety uznają granice wschodnie Polski ustalone w Rydze.

Proste porównanie komunikatu o spotkaniu w Kairze z deklaracją teherańską wyjaśnia nam to, co ta deklaracja w zawikłanych zdaniach ukrywa. Podczas bowiem, gdy przywódcy anglosascy i Chiang-Kai-Szek porozumieli się co zrobić ze schedą japońską i punkt po punkcie ujawnili swe zamiary, komunikat teherański używa stylu biblijnego, aby ukryć, że Sowiety nie zrzekły się żadnej swej pretensji opartej o zabory dokonane w spółce z Hitlerem. Że te intencje Sowietów pokryte są frazeologją, mającą przekonać świat o wynikach konferencji teherańskiej wręcz przeciwnych niż zostały w istocie osiągnięte, że poetyczne słowa użyte zostały aby usprawiedliwić bezsilność wobec cynicznej agresji i zaborczego imperjalizmu — to wszystko powiększa jeszcze analogję między Monachjum a Teheranem.

Komunikat teherański obok słowa Narody Zjednoczone używa słowa narody demokratyczne, co oczywiście inne ma rozumienie w ustach Roosevelta i Churchilla, inne zaś w intencjach Stalina. Dla niego jest to, środek, aby wbić w głowy już i tak otumanione przez moskiewską propagandę, że Sowiety są wielką demokracją, że są nią napewno skoro w imieniu ludów demokratycznych jako jeden z trzech ich przywódców przemawiają; skoro zaś zdobyły takie tytuły do pierwszeństwa w demokratycznym świecie, będą miały na przyszłość prawo decydować który z Narodów Zjednoczonych walczących z Niemcami jest demokracją, a który nią nie jest. Sowiety wiedząc jak szybko świat zapomniał o ich sojuszu z Niemcami, o sabotowaniu przez komunistów na całym świecie wysiłku aljantów do ostatniej chwili przed wejściem Niemców do Rosji, wiedząc jak łatwo prasa i opinja światowa przełknęły wszystko co piszą "Izwiestja" i mówi radjo moskiewskie, nie krępują się już najwidoczniej niczem, gdyż stojąc niemal u granic Polski, nie powiedziały jeszcze, że te granice będą uszanowane.

Od chwili wejścia Rosji do wojny karmieni byliśmy lub karmiliśmy się sami nadzieją, że ta sprawa, której rozstrzygnięcie powinno byłoby być warunkiem przyjęcia Sowietów do anty-faszystowskiej koalicji, warunkiem posyłania im broni, że sprawa ta będzie załatwiona choćby w ostatnim momencie, ale w każdym razie przedtem nim Sowiety załatwią je same po swojemu. Nietylko, że nadzieje te, za które było kupione milczenie iluż Polaków, zostały zawiedzione, ale przeciwko Polsce w łonie samejże koalicji w Wielkiej Brytanii i Stanach rozpętana została niegodna kampanja, odmawiająca nam najświętszych naszych praw i lżąca bohaterski naród, który najofiarniej walczy przeciw przemocy i najstraszliwiej cierpi za wolność.

W tej chwili nikt nie obiecuje nam już niczego. Z całą rezygnacją przywołuje się tak zwany realizm polityczny, aby nam wytłumaczyć, że niczego nie możemy się spodziewać. Piękne hasła wolności wysuwa się aby pokryć otwarty zabór, za którym — wiemy to — idą takie same jak za zaborami Hitlera krew, łzy i cierpienia.

Polska dowiodła tego, że jest bojowniczką wolności. W imię wolności swojej i wszystkich ludów zniosła ona i znosi cierpienia nieznane żadnemu z walczących wraz z nią narodów. Wśród [illegible] głodu i prześladowań, dziesiątkowany przez choroby i egzekucje dla tego pięknego słowa "wolność", naród polski nieugięcie znosi swój los straszliwy. I dlatego nie godzi się on na to, dlatego my Polacy, wszędzie gdzie jesteśmy, nie możemy się zgodzić, aby handlowano tem słowem, aby rezultatem tej wojny była nie wolność, ale zamiana jednej przemocy na inną. Nasza wiara, że sprawa polska jest broniona nieugięcie jako część wspólnej sprawy Narodów Zjednoczonych, doznała w ostatnich wypadkach dotkliwych ciosów; nietylko my ze zrozumiałym niepokojem, ale tak samo komentują te wypadki i tak je rozumieją i wołają na trwogę najszlachetniejsi i najbardziej przenikliwi publicyści amerykańscy jak Edgar Mowrer.

I my musimy podnieść nasz głos nietylko w obliczu grożących Polsce nieszczęść, ale dlatego także, że te nieszczęścia nie są zabezpieczeniem pokoju, ale zarodkiem nowych wojen, rewolucji i klęski naszej cywilizacji. My, którzy znamy Rosję nie z filmów sowieckich, ani z książek udającego łatwowierność pana Davisa, ale z łez i krwi naszych rodaków, gnanych na Sybir, głodzonych i męczonych, my którzy wiemy, że Wilno i Lwów nie są to tylko jakieś tam sobie bezpańskie miasta z końca świata, ale symbole wolnego życia, pięknej kultury, którzy wiemy, że to życie i ta kultura będą zniszczone jeśli Sowiety niczem nie skrępowane wejdą na te ziemie, my bracia naszych bohaterskich braci, z bezbrzeżną radością oczekujących na wyjście Niemców ale z bezbrzeżnym niepokojem na zbliżanie się "demokratycznych" Sowietów — nie mamy prawa, nie możemy milczeć, widząc na co się zanosi, co grozi nietylko Polsce, ale całej Europie.

W POPRZEDNIM (50-tym) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

NA MORZACH Z WOJSKIEM POLSKIEM

"Po morzach wędrował, był kiedyś farysem" — to była poezja. Praktyka życia zupełnie inaczej wyglądała w ciemnem biurze sprzedaży węgla zadymionych Katowic. Kiedyś dojechałem do Gdyni i w niedzielne popołudnie wsiadłem na statek z zamiarem udania się na Hel. Gdy fala zakołysała, stwierdziłem z niepokojem, że wprawdzie statek ma dalej kurs na Hel, ale ja zmierzam wprost do Rygi. Skorzystałem z przystani w Orłowie by wrócić na ląd stały.

Dopiero wybuch wojny i przymierze z Imperjum Brytyjskiem pozwoliło mi rozkoszować się do woli wycieczkami morskimi.

Z rewizytą do Baśki Murmańskiej

Wieczór 23 kwietnia 1940. Port w Breście. Jestem na pokładzie francuskiego statku "Meksyk". Poczciwy, wielki, stary grat woził przed wojną konie. Już miał pójść na szmelc, gdy wybuch wojny otworzył przed nim nowe piękne horoskopy. Teraz podnosi kotwicę, za chwilę ruszy do Norwegii, by tam zawieźć dwa bataljony dzielnych strzelców Podhalańskich. Obok na pokładzie wspaniałego pancernika "Richelieu" marynarze prezentują broń, orkiestra gra "Marsyljankę", potem dźwięki "Jeszcze Polska nie zginęła" gonią po falach wypływający z portu "Meksyk". Chwila zadumy na pokładzie, gdy w mrokach zapadającej nocy mgła, na kanale towarzysz z transtwierdzi, że 23-ci dzień miesiąca był zawsze dla niego pechowym. Pociesza mnie kolacja w jasnooświetlonej sali jadalnej, czerwony Burgund, potem kabina pierwszej klasy. Niezła będzie obijaczka na tym okręcie. W nocy mgła, na kanale, towarzysz z transportu nadziewa się na jakiegoś zabłąkanego trampa, dziura w burcie, woda w kabinach, przykra pobudka dla dzielnych żołnierzy Cudzoziemskiej Legji. Potem parę dni na redzie w szkockim porcie Greanock, znanym dotychczas tylko z opowieści Conrada. Gramy spokojnie w bridge'a, nagle słyszymy wybuch. Wychodzimy na pokład, widzimy francuski kontrtorpedowiec z naszego konwoju w płomieniach, wkrótce tonie. Podobno wypadek z torpedą. Prasa nie napisze o tem.

Początek maja zastaje nas na Oceanie Lodowatym. Radjo niemieckie właśnie nadało wiadomość, że konwój z brygadą polską spoczął na dnie morza. Czujemy się bezpiecznie w towarzystwie brytyjskiej Navy. Płyniemy z wspaniałą armadą krążowników, kontrtorpedowców, wielkich statków linjowych. Obok na "Chenonceau" podróżuje mój brat i kupa przyjaciół. Jest ciepło, leżakujemy na pokładach, czytamy książki. Przed wojną nie wszystkich stać było na wiosenną wycieczkę do fiordów Norwegji, teraz 5 tysięcy Polaków ma ją "za darmo". Kiedyś wieczorem alarm: na dalekim horyzoncie pojawiły się tajemnicze czarne sylwetki, szybko rosną. "Gneisenau"? "Scharnhorst"? Naprężone wyczekiwanie. Nie, to konwój brytyjski, wraca z Norwegji. Wreszcie któregoś ranka zjawia się ląd. Skaliste, pokryte lodowcem góry wystają z wody. Rzekłbyś że Tatry w zimowej szacie ktoś postawił nad oceanem Lodowatym. Napróżno przez lornetkę szukam u stóp gór lasu, drzew, domów. Nic. Pustka. Brr! Na samą myśl wojowania w tych górach cierpnie skóra. Żołnierze-emigranci, przywykli już do słodkiego klimatu Francji, też spoglądają na te lodowe góry z obrzydzeniem. Długim fiordem wpływamy do zatoki, nad którą leży miasteczko Tromso. Podobno teraz rezyduje tu król Haakon. Kontrtorpedowce konwoju przycumowują do burty "Meksyku". Brodaci, w długich kożuchach marynarze, od miesięcy na morzach, w niczem nie przypominają wypucowanych chłopaków z Broadwayu. Przynoszą smutną wiadomość: "Grom" pod Narwikiem właśnie zatonął. Wieczorem konwoj opuszcza zatokę, płynie przepięknymi fiordami. Zorza polarna. Słońce nie zachodzi już tej nocy. Kraina wiecznego dnia. Jutro pewnie już będziemy walczyć i marznąć wśród tych ohydnych lodowców — trzeba dziś zatem opróżnić bar. Udaje nam się to. Już dawno północ minęła, gdy idziemy spać.

Gdy nazajutrz otwieram oczy i okno kabiny, stwierdzam ze zdumieniem, że Norwegja zniknęła bez śladu, jesteśmy na pełnem morzu. Ktoś zaintrygowany sprawdza busolą kurs: płyniemy w stronę Islandji. Popołudniu mamy kurs na Grenlandję Wieczorem prościusieńko na biegun, blisko ojczyzny Baśki Murmańskiej. I tak Brygada Podhalańska błąka się trzy doby po Oceanie Arktycznym. Czyżby admirał prowadzący konwoj oszalał? — snujemy przypuszczenia. Potem dowiedzieliśmy się, że wobec klęsk ekspedycyj aljanckich na Południu i w Środkowej Norwegji rządy aljanckie naradzały się wtedy czy nie lepiej z wyprawy na Narwik zrezygnować? — Wreszcie przyszła decyzja, znów ujrzeliśmy fiordy, wyładowaliśmy się nad jednym z nich.

Jak w Wenecji

Podczas trzech tygodni spędzonych w okolicach Narwiku czułem się jak w Wenecji. Komunikacja w tym kraju nie odbywa się bowiem drogami ale fiordami. Rolę weneckich kanałów grały więc fiordy, fiordziki, fiordzięta. Rolę gondol — kutry i kuterki. Jedynie brakło śpiewu gondoljerów. Zato monotonne pykanie kuterków bezustannie rozlegało się nad fiordem.

Po zdobyciu Narwiku załadowano nas znów na kutry, z nich mieliśmy się przesiąść na kontrtorpedowce. "Brygada płynie na południe, do Trondjem, stamtąd skolei wykurzyć Niemców" — brzmiał oficjalny komunikat sztabu. Na pokładzie kontrtorpedowca marynarze nam powiedzieli "Co? gdzie? Do Trondjem? Poco? Naco? Wracamy do starej Anglji, czas najwyższy!" Żal było zostawiać Norwegję na łup Niemcom.

Przez Szkocję do Francji

W dobrze ukrytej między wysokiemi górami zatoce czekał nas już konwój, złożony z wielkich linjowców, dookoła których patrolowały nieustannie, jak czujne psy, okręty wojenne Jego Królewskiej Mości. Jesteśmy na transatlantyku "Georgic". Dwa razy większy od "Batorego". Tylko co został ściągnięty z cywilnej linji. Luksusowym westibulem, lśniącymi korytarzami walą obłocone żołnierskie buciska. Żołnierze polscy, Legja Cudzoziemska, strzelcy alpejscy, artylerzyści angielscy, gwardziści irlandzcy, znikają w czeluściach statku. Są już w sali balowej zamienionej na koszary, zawieszają brudne erkaemy na złocistych klamkach,, rzucają obłocony rynsztunek na pielęgnowane posadzki. Przerażeni tym widokiem stewarci wreszcie zdają sobie sprawę, że jest wojna. Znów kabina pierwszej klasy, gorąca kąpiel czeka w alabastrowej wannie, puszyste materace, śnieżne, jedwabiste prześcieradła. Po wrześniu — dziwna zaiste wydaje się to wojna. Sala jadalna jak z filmowej taśmy: kelnerzy we frakach, dziesiątki dań do wyboru, owoce, wina, wety, jak za najlepszych przedwojennych czasów. Menu wypisane codzień na innej malowanej karcie. Kłopot tylko z angielskiemi nazwami potraw. Uchwalamy przy stole że każdy musi wypróbować raz na dzień potrawę o nieznanej nazwie. Czasem to się źle kończy: kelner jest zaniepokojony, gdy po pieczystem ktoś zamawia — ostrygi.

Główne zajęcie — bridge. Mamy stałą czwórkę: kapitan Moczarski, dzielny szef sanitarny półbrygady, kapitan Marty z kawalerji marokańskiej, francuski oficer łącznikowy i Gruzin, kapitan Amilakwari, dowódca kompanji Legji cudzoziemskiej — spotkam się z nim dwa lata później w pustyni Libijskiej, padnie już jako podpułkownik pod El Alamein. Radja wolimy nie słuchać — same złe wiadomości: klęska Flandrji, Włochy wypowiadają wojnę. Znów reda w Greanock, wycieczka do Glasgow, zdziwieni Szkoci oglądają pierwszych polskich żołnierzy. Niezadługo przybędzie tu cała armja polska. Narazie nikt się tego nie domyśla.

Potem zawijamy do Brestu. Witają nas znów na molo dźwięki "Marsyljanki". Ale przechodnie mają twarze smutne: jest to dzień wkroczenia wojsk niemieckich do Paryża.

Na wybrzeżach Bretanji i nad Morzem Śródziemnym

Łatwo było do Francji wolnej wpłynąć — trudniej z okupowanej przez Niemców się wydostać. Nie minęły dwa tygodnie, a znalazłem się w Bretanji, znów nad wybrzeżem Atlantyku. Ujrzałem dwu rybaków, zagadnąłem ich po francusku:

— Niech będzie pochwalony... A nie wybieracie się ojcowie na połów ryb, ot tak pod brzegi Anglji?

— Może pan porucznik mówić po polsku — odpowiedział mi starszy rybak. Był to major Iliński, zastępca szefa sztabu Brygady Podhalańskiej (obecnie podpułkownik, attache militaire w Ottawie). — "Pozatem niech pan lepiej siądzie, bo z pańskim wzrostem Niemcy z Damgan nas tu dojrzą" — dodał drugi rybak, porucznik Fudakowski. Dowódca brygady, generał Szyszko-Bohusz, ukrywał się w sąsiedniej chałupie. Prawdziwi rybacy natomiast nie chcieli słyszeć o wycieczce do Anglji. Bretończycy od trzech stuleci nie widzieli u siebie nieprzyjacielskiego żołnierza i na widok Niemców zbaranieli kompletnie.

Dwa miesiące potem. U stóp Alp, niedaleko Marsylji, tonie w zieleni i kwiatach południa śliczny porcik rybacki — Cassis. Niedaleko znajduje się obóz internowanych polskich żołnierzy — rwą się w świat, do wolności. Przyjechałem tu z zamiarem kupienia żaglówki by nią dopłynąć do Gibraltaru. Stary rybak dłubie przy sieci. Częstuję go papierosem i nawiązuję rozmowę:

— Pogoda ładna, ojcze.

— Niebrzydka.

— A nie możnaby tu gdzie jakiej żaglówki kupić?

Rybak uniósł głowę z nad sieci, spojrzał na nas zaciekawiony.

— Wczoraj tu jedni panowie przyjechali z wieczora. Kupili żaglówkę. I już w nocy wypłynęli na morze.

Wiadomość uderza w nas jak grom. A więc ktoś już nas uprzedził! Napewno nasi.

— A tam co to za motorówka pływa po morzu? — pytam.

— Tam? To policja. Wypłynęła niedawno na poszukiwanie żaglówki. Podobno panowie ci nie mieli papierów w porządku.

No, złapią ich, czy nie złapią? — zastanawialiśmy się w czasie obiadu. Naraz przez okno restauracji dostrzegliśmy pochód ciągnący ulicą miasteczka: policja, między nią grupka młodych ludzi, tłum gapiów. Oczywiście — nasi. Już z daleka rzuca się w oczy wysoka sylwetka inżyniera Doboszyńskiego. Ten to nie ma szczęścia. Już w dwóch portach nakryła go policja, w każdym pozostawił zakupioną żaglówkę — nazywamy go też admirałem.

Po godzinie spotykamy jednego z uczestników wyprawy. Opowiada jej dzieje:

— Wypłynęliśmy z portu o północy, głupia policja ruszyła w pogoń za nami dopiero po dwunastu godzinach. Nigdyby nas nie nakryła, gdyby nie burza. Przez dwie godziny walczyliśmy ze śmiercią. Żaglówka ma kilka ton pojemności tylko, przewalała się z boku na bok. Chorowałem w straszny sposób. Przed świtem udało nam się dobić do zatoczki wśród gór. Byliśmy zbyt wyczerpani by wyjść w morze. Tam znalazła nas policja.

— A co z Doboszyńskim?

— Trzeba było go słyszeć, jak na Komisarjacie wygłosił do policjantów przemówienie o solidarności aljanckiej, o wspólnej niedoli Francji i Polski. Wszyscy byli tak wzruszeni, że nawet komisarz prosił Doboszyńskiego by został w miasteczku jako gość do końca wojny. Wszystkich nas zwolnili. Doboszyński już wyjechał do Marsylji.

— Kiedy powtarzacie wyprawę?

— Ja? Nigdy! — odpowiedział zdecydowanie pilot. Od wczoraj nie mogę patrzeć na morze. Będę próbował drogi na Pireneje, przez Marokko, poprzez Saharę, ale napewno nie — żaglówką.

Szlakiem Sułkowskiego

Ciemna zimna noc grudniowa. Port w Marsylji, oddzielony od miasta wysokim, żelaznym płotem, policja pilnuje bram. Kilka sekund strachu — i już jesteśmy za bramą. Błądzimy po zaciemnionym porcie. Wreszcie odnajdujemy przy molu wielki statek. Maszyny pracują. Jest to "Athos II", utrzymuje raz na miesiąc komunikację między Francją a Libanem. Jedyna droga na Bliski Wschód Jutro rano odpływa do Bejrutu. Ostatni czas na nim się ukryć. Wartownik pilnuje na pokładzie, znów chwila strachu. Potem długie korytarze, strome, niekończące się schody, schodki. I jesteśmy w ogromnej jakiejś sali. Maszyny-kolosy wyją tu, huczą, oliwa kapie — tu jest serce wielkiego statku. Opłacony marynarz Korsykańczyk ukrywa nas pod podłogą maszynowni. Ciasno, ciemno, zaduch, kości wyciągnąć nie można, godziny wloką się nieznośnie. Ale zato Niemcy z komisji armistycyjnej nie dojdą tu w czasie rewizji. Wreszcie statek jest na pełnem morzu, opuszczamy maszynownię. Marynarz ukrywa mnie w swem łóżku — mam w niem przeleżeć tydzień, zasłonięty firanką, udając marynarza odpoczywającego po służbie. Marynarze korsykańscy to bandyci, oficerowie statku wolą do ich kabin nie zaglądać.

Do kraju przez Szwajcarję nadaliśmy wiadomość: "Jedziemy szlakiem Sułkowskiego". Na drogę kupiliśmy życiorys Byrona — w Grecji toczy się właśnie wojna, mamy nadzieję, że Brygada Karpacka już tam walczy. Ta romantyczna strona wyprawy jakżeż odbiega od prozaicznej rzeczywistości: leżeć całymi dniami w brudnem łóżku, obok 12 marynarzy na zmianę śpi, chrapie, powietrze utrzymałoby siekierę. Któregoś dnia z wysokości piętrowego łóżka przez okienko kabiny dostrzegam zielone, oblane słońcem południa, wysokie góry. To Sycylja, przepływamy Cieśninę Messyńską. Tu gdzieś jest Palermo, Taormina i ten hotel przerobiony ze średniowiecznego klasztoru, o którym opowiadał nam Stanisław Mackiewicz: przez gotycki łuk okna widać lazur nieba, granat wody, człowiek ma wrażenie że jest w niebie. Jedyna okazja dla grzeszników. "Athos" płynie dalej. Na wysokości Krety marynarze Korsykańscy przynoszą dobrą wiadomość: pod Sidi Barani Wavell łupi Włochów, Grecy robią to samo w Albanji. Czy statek nie zawolno płynie — niepokoimy się. Czy aby zdążymy na wojnę? Wreszcie przez okienko kabiny widzimy wymarzony Bliski Wschód: statek stoi na redzie u wejścia do nowoczesnego portu, nad nim wznosi się na stokach wzgórz wielkie miasto, białe o płaskich dachach domy toną w cieniu zielonych palm i cyprysów, wyżej pną się ku niebu potężne szczyty Libanu, pokryte śniegiem, lśniącym w blasku południowego słońca. Jednem słowem kraj kupców Fenickich, cedrów Salomona, kasztelanki Libanu itd. Nim się do tego miasta niby z bajki dostaniemy, trzeba jeszcze rozegrać ostatnią rundę z wszystowską policją, która już obsadziła statek.

Do oblężonego Tobruku.

Pół roku potem. 23-ci sierpnia 1941. Zatoka aleksandryjska, ta sama gdzie sto lat temu pisał Słowacki, jakby przewidując że los tu rzuci Brygadę Karpacką:

> Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
> Anieli Twoi w niebie rozpostarli
> Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
> Patrzący — marli.

I teraz tęcza blasków wschodzącego słońca unosi się nad Aleksandrją i Śródziemnem morzem. Ulicami wschodniego miasta, perły Lewantu, pędzą w stronę portu samochody brytyjskiej kolumny transportowej, wyładowane żołnierzami Karpackiej Brygady. Wjeżdżają do portu wojennego. Żołnierze trzymają karabiny w rękach, wspinają się na brytyjskie kontrtorpedowce. Zaraz potem konwój rusza. Przepływamy koło starego znajomego "Wapspite'a", który taką łaźnię eskadrze niemieckiej sprawił pod Narwikiem. Internowane wiszystowskie krążowniki stoją na wodzie smutne, znudzone. Konwój wypływa z portu, pędzi na zachód pełną mocą turbin. Kurs — Tobruk, oblężony od 4ch miesięcy przez wojska Rommla, mamy tam zluzować Australijczyków. Marynarze brytyjscy przedstawiają nam z dumą "Latonę": Stawiasz min najnowszej konstrukcji, wielkości niemal krążownika, najszybsza jednostka floty Króla Jegomości. Na pokładzie jej płynie i generał Kopański, dowódca brygady. Po południu nikną z oczu wybrzeża Afryki — wolimy ich unikać, tam za Bardją są już Niemcy i lotniska ze Stukami. Przed wieczorem nalot. Więcej huku jak szkody. Mamy szczęście. Będzie miał je również premjer Sikorski, gdy tą samą drogą odwiedzi nas w Tobruku dwa miesiące potem. Na tym szlaku niejeden okręt już zatonął i niejeden jeszcze pójdzie na dno. Zatonie tu i piękna "Latona", i wspaniały pancernik "Barham", tu zakończy żywot pracowita 'Warszawa" (kiedyś nocą w Tobruku wyląduje ociekając wodą pierwsza i ostatnia w czasie oblężenia kobieta — doktór Zielińska, lekarka ze statku "Warszawa"). — Konwój z polską Legją oficerską będzie zbombardowany, nie dopłynie do Tobruku, zawróci do Aleksandrji.

Czarną nocą dopływamy do tobruckiej zatoki. Po sznurowej drabince schodzę na barkę. Marynarze poganiają: "Szybciej, szybciej". Okręty wojenne zaraz odpływają. Nie lubią Tobruku. Mają rację. Niezadługo zaczyna się nalot. Rakiety zrzucane z niewidzialnych samolotów zwisają na spadochronach z nieba jak wielkie lampy. Robi się jasno jak w dzień. Bębenki w uszach dzwonią od huku.

Powrót do pięknej Aleksandrji

Równo pół roku potem: 23 luty 1942. Tenże sam port tobrucki. Tylko że jest dzień jasny, słońce wiosenne już przypieka w Afryce. Leżę na molo, na noszach. Obok mnie dziesiątki noszy: leżą na nich Polacy, Francuzi, Anglicy, Południowi-Afrykanie, Czesi, murzyni, Nowozelandczycy, Hindusi, Australijczycy, jednem słowem przedstawiciele najróżnorodniejszych ras narodów i religji z których powstał ten wspaniały instrument nowoczesnej wojny: 8-a armja brytyjska. Jeszcze pożegnalny nalot, sanitarjusze ładują nasze nosze na barkę. Płyniemy w stronę wielkiego, na biało pomalowanego statku, z czerwonym krzyżem na burcie. "Somersetshire", trzydziestoletni grat, przed wojną woził wojska między wyspami brytyjskimi a Bombajem, teraz jest statkiem szpitalnym. Z noszy przekładają nas na łóżka, prawdziwe materace, biała pościel, wykwalifikowani sanitarjusze potrafią wykąpać pacjenta w łóżku od stóp do głów. Kąpieli nie miało się od pół roku. Kelner przynosi prawdziwy obiad, u stewarta barowego można zamówić piwo. Te drobiazgi niedoceniane w życiu tyłów, do rozmiarów jakich rozkoszy dochodzą, gdy się ich nie miało przez pół roku? W tych warunkach dwa dni podróży mijają jak z bicza trzasł. Aż wierzyć się nie chce, że niejeden ranny żołnierz brygady znalazł na tymże szlaku śmierć w nurtach tego niegościnnego morza. Potem z wysokości pokładu i noszów widzimy znów port aleksandryjski pełen jak zwykle wrzawy, zgiełku, okrętów i arabskich burnusów. Trochę się już w tej Aleksandrji czuję u siebie w domu, jak w Krakowie.

Na wodach szlakami Beniowskiego

Dzień świętego Sylwestra 1942. Port w Suezie. Kiedyś rozgrywał się tu romantyczny flirt francuskiego inżyniera i pięknej cesarzowej. Dziś plugawe, zagubione między dwoma kontynentami, miasteczko. — Przeniesiony do lotnictwa — udaję się w podróż do Anglji. Gram rolę dystyngowanego podróżnika. 8-u Arabów dźwiga z trudem me bagaże. Łupy wojenne? Niestety, to tylko "walizy dyplomatyczne", w które na drogę wyposażył mnie minister Kot, nasz poseł w Kairze. Pokład "Nowego Amsterdamu" chluby marynarki holenderskiej. Trzy razy większy od "Batorego". Pierwsza dywizja Południowo-Afrykańska, starzy znajomi z pustyni wracają do domu na zasłużony wypoczynek. Humory więc takie, w jakich my będziemy płynąć do Gdyni. 70 polskich "pestek" króluje wśród dzielnych Afrykanów. Urocze panny Głowackie rozgrywają zacięte mecze w pokładowego tennisa przy entuzjastycznym aplauzie widzów. Moja kuzynka Chuquette udowadnia naocznie brygadjerom i komandorom, że klasa Polek nie spadła od czasów Marji Walewskiej i pani Hańskiej. Z morza Czerwonego, pełnego rekinów, wypływamy na Ocean Indyjski. Coraz goręcej, równik. Statek sunie samotnie, szybkość jest jego główną obroną przed łodziami podwodnemi, które grasują koło Madaskaru, królestwa Beniowskiego. Storpedowanie statku byłoby klęską polityczną dla Imperjum. — Marszałek Smuts sprowadza 1-ą dywizję ze względu na nadchodzące wybory, chce się wreszcie pozbyć z parlamentu 49-o procentowej antywojennej opozycji. 2-a dywizja w Tobruku trafiła do niewoli niemieckiej. Jeśli teraz 1-a spocznie na dnie morza, rząd wybory przegra. Ale "Nowy Amsterdam" dopływa do Durbanu. Miasto wita zwycięzców z Abisynji, Erytrei i Libji z niekończącym się entuzjazmem. Marszałek Smuts wygrywa wybory.

W Kapsztacie jest lato w styczniu

W kraju Przylądka Dobrej Nadziei nazywa się to styczniem: w rzeczywistości jest lato. Rozkoszne owoce mienią się kolorami tęczy, plaża roi się od smukłych Południowych Afrykanek, trzeba tylko mieć się na baczności przed rekinami, których pełen jest ocean Indyjski, a które od czasu wojny zasmakowały w ludzkiem mięsie. Rozstanie z "Nowym Amsterdamem". W hotelowym lounge'u zagaduje mnie kapitan brytyjski, znam go z widzenia, tylko nie pamiętam już skąd? Pyta: "Przyjemną miał pan drogę na nowym Amsterdamie?" Odpowiadam: "Owszem, bardzo miłą, to też tem więcej mi go żal". "Dlaczego?" "Bo widzi pan, kapitanie, odpowiadam, tak już się w czasie tej wojny składa, że zawsze kończę podróż morską szczęśliwie, natomiast gdy tylko zejdę z pokładu, zaraz nieszczęście go spotyka. W tych warunkach rozumie pan, że współczuję z góry 'Nowemu Amsterdamowi". Ale skąd my się właściwie znamy?" pytam. "Nie pamięta pan? Przecie pływam jako stały adjutant na Nowym Amsterdamie"? — odpowiada. Zaraz się pożegnałem.

Wielki konwoj z Kapsztadu do Anglji. Pancernik, ponoć wiezie ładunek złota dla angielskiego banku. Kontrtorpedowce jak charty węszą wkoło. Na pokładzie "Britanic'a" wracają do Zjednoczonego Królewstwa inwalidzi wojenni z Burmy i Libji, lotnicy z francuskiej eskadry, polscy ochotnicy do marynarki i lotnictwa, oraz wiele tysięcy jeńców. Podróż ponoć niebezpieczna, kobiety zostały w Durbanie, niema już wesołego zgiełku wokoło polskich "pestek". Mijamy znów równik. Koniec stycznia, ale noce tak gorące, że sypiamy na pokładzie. Niebo pełne gwiazd nad nami, mleczna droga jakaś inna na tej półkuli, brak jest Wielkiej Niedźwiedzicy, zamiast niej świeci Krzyż Południa. Zawijamy do Free Town. To tu jest ten kraj gdzie pieprz rośnie, gdzie oficerowie polscy ćwiczą oddziały murzyńskie, u królików murzyńskich kupują sobie czarne żony. Potem wypływamy na wysokość Azorów, słońce słabiej grzeje, na wysokości Lizbony chłodno, na wysokości Biarritz — jesień, na wysokości Liverpoolu — zima. W Londynie deszcz i mgła. O Kairze, tonący teraz w słońcu, jakżeś daleko!

W ślad Kościuszki i Pułaskiego

Jestem na wyspach brytyjskich już pięć miesięcy, ale wydaje mi się, że już od wiekow osiadłem na tej stacji. Na szczęście istnieje wspaniała organizacja turystyczna: Imperial Air Training Scheme, zastępująca znakomicie przedwojennego Cooka. Ani się spostrzegłem jak przewieziono mnie do zamku lordów przemienionego na stację tranzytową dla przejazdów zamorskich. Pogolfowe, basen, łódki, spacery po parku, bibljoteka, umilają dnie oczekiwania na statek. Potem znów port — jestem już w nim poraz trzeci w czasie tej wojny, z przykrością stwierdzam, że niezadługo lepiej będę znać porty brytyjskie niż Gdynię. Pokład największego statku świata: Królowej Elżbiety. Piękny statek, wewnątrz zrujnowany. Co ci ludzie z nim zrobili? Wygląda jak Normandie po pożarze. Do kabiny przeznaczonej na dwie osoby wstawiono 21 trzypiętrowych łózek skleconych z nieheblowanych desek. Niema w niej ani jednego krzesła. W barze ani kropli alkoholu. Zawstydzeni Anglicy tłumaczą: statek wydzierżawiony, pływa pod zarządem amerykańskim, oni lubią prohibicję. Prujemy szybko ocean Atlantycki. Przez pierwsze dni towarzyszą nam samoloty z baz brytyjskich, przez następne już wylatują nam na spotkanie "Liberatory" i "Fortece" z Ameryki. Nie czujemy się ani przez jeden dzień samotni. Stwierdzam, że Ocean Atlantycki zamienia się szybko w jeziorko anglosaskie. Mam poczucie pełnego bezpieczeństwa. Kapelan statku nie jest tego zdania. "Nie czujcie się zbyt pewni na pokładzie tej wspaniałej Królowej Elżbiety" grzmi z zaimprowizowanej ambony i udziela absolucji w godzinę śmierci. Wreszcie któregoś wieczoru świecą czerwone światła — to Long Island. Wszyscy wylegli na pokłady. Przepływamy koło malutkiego strażniczego stateczku. Wartownik zachrypniętym głosem woła przez tubę: "What a ship? What a ship?" Dumna królowa Elżbieta nie poniża się by wymienić swe imię. Strażnik wściekły ryczy dalej swe "What a ship?", odpowiadają mu tylko huraganu żołnierskiego śmiechu i wreszcie odkrzyknięte pytanie dowcipnisia "And what's the town?"

Noc na redzie. Nazajutrz, w piękny, sierpniowy ranek Królowa Elżbieta wpływa do Nowojorskiego portu. Wita nas Posąg Wolności i strzeliste drapacze Manhattanu, symbole nowego świata.

No dobrze, ależ kiedyż wreszcie dopłyniemy do Gdyni?

*Nazwa niedźwiedzicy, bohaterki opowieści Małaczewskiego, która z oddziałem polskiego wojska przybyła w 1919 r. z dalekiej Północy do Polski.

WITOLD HULANICKI

Junacy wystawiają "Halkę"

Przed pewnym czasem nadeszła z obozu Junaków polskich w Palestynie nieprawdopodobna wiadomość. — Grono polskich junaków-amatorów, pozbawione zdawałoby się najbardziej prymitywnych warunków do ważenia się na takie przedsięwzięcie — wystawiło operę Moniuszki, Halkę. Przyjęcie zarówno przez polskie wojsko i uchodźców, jak i przez publiczność miejscową, było entuzjastyczne. Wyjaśnienie tej niepojętej zagadki daje poniższa korespondencja p. Hulanickiego.

Czy uwierzyłby kto spokojnie i normalnie myślący, że można porwać się na wystawienie klasycznej opery w małej polskiej mieścinie, zwerbowawszy zespół aktorsko-śpiewaczy, włączając solistów, z pośród bawiących się na ulicy chłopaków, a może i z wsi sąsiedniej? Gdyby nawet znaleziono dostateczną ilość muzykalnych i obdarzonych jakim takim głosem dzieci i wreszcie sklecono zespół, czy nie można z dostateczną pewnością przypuścić, że byłaby to t. zw. "szmira", pośmiewisko rodem z piekła. Otóż nie, moi kochani czytelnicy, cuda dzieją się na świecie, a gdzież łatwiej cuda niż na Ziemi Świętej. Porwano się tutaj z motyką na słońce, natchnieniem szaleńcom była wiara, bodźcem — tęsknota, a siłą — dziecięca wszechobejmująca szczerość.

A więc opowiem jak to było, przyczem błagam instruktorów, artystów, reżyserów, dyrygentów, malarzy i dekoratorów, by mi wybaczyli gdybym śmiał pominąć czyjeś zasługi.

Chyba nie mylę się gdy powiem, że warjacki pomysł wystawienia Halki składającej się z samych junaków i ochotniczek powstał w głowie strzelca U., przepraszam może wysokiej szarży kaprala U. Podejrzewam go o to bardzo, gdyż już oddawna wszyscy tu znamy jego dorobek muzyczny i nieraz słyszeliśmy go ze sceny żołnierskiego teatru wyśpiewującego arje z Halki. Już wtedy podejrzewaliśmy go wszyscy, że ma "fiksa" na temat Halki, bo zrobił to conajmniej jak Młynarski, Gruszczyński, Turska razem wzięci. Żart na stronę, podchorąży U. (wreszcie trafię na jego szarżę) musiał parę nocek nie przespać, tych wygwieżdżonych nocy Palestyńskich, które dzieliły jego decyzję od skonstatowania pierwszych rezultatów syzyfowej pracy. Nawet nie chcę zagłębiać się w nieprzejrzany labirynt jego wysiłków, rozczarowań, radości, rozpaczy.... Dość tego, że wziął w swe ręce grupę surowych, napozór rubasznych i nieociosanych chłopaków i poddając ich nieznanym nam torturom muzycznym zrobił z nich w czasie równie niesamowitym zdyscyplinowane, na wysokim poziomie stojące chóry, no i solistów, ale jakich solistów! Trzeba zobaczyć, aby uwierzyć.

Nie miał racji pedagog, który nawet po próbie generalnej, jeszcze nie wierząc w swój (między innymi) sukces, wyszedłszy przed kurtynę upraszał widzów o wyrozumiałość. Za kogoż nas miał?

Usterki ginęły w powodzi rzetelnej muzyki, świetnej reżyserji scen zbiorowych, ba, nawet, dobrego tańca. Dlaczego?

Bo nie było sztuczności, ani śladu pozy, bufonady. Bo potrafiono w jednym kotle topić niezawodne elementy: dobrą muzykę, nieprzeciętną muzykalność, znawstwo rzeczy, umiar, pierwszorzędne pomysły inscenizacyjne, dobre dekoracje.

Naiwności rozczulały a nigdy nie śmieszyły i to nie tylko nas, rozkochanych w junakach ale i tego surowego, zimnego, pełnego krytycyzmu widza.

Czy to wszystko panegiryki? Nie, przysięgam, że szczera prawda.

Strona anegdotyczna wielkich przygotowań, od których obozy junackie drżały w posadach, też warta jest uwagi. Niesamowite ryki i piski, coraz to z innego namiotu lub baraku przypominały, że coś wielkiego się szykuje. Nawet najwyższy dowódca junacki, Tata, stale nucił arje z Halki. Złośliwi mówią, że nieraz odezwał się do Pestki per "Halko" a swego adjutanta zmyślał od "Jontków".

W kantynach Y. M. C. A. odbywały się fragmentaryczne próby: tu Halka nękana zawiedzioną miłością kuca przed gramofonem, biorąc go szczerze za kaplicę, tam Janusz przed bufetem zastawionym kanapkami gestem sarmackim zaprasza brać junacką do mazura, jeszcze gdzie indziej za lęknione ochotniczki przyjechawszy ze swego m. p. (miejsca postoju) zaznajamiają się na próbie z "chłopaczyskami".

A czy wiecie kto to Halka? Ach całe tomy pisać o niej. Toć to kochana ochotniczka, śpiewaczka, nauczycielka pani Kamińska. Potrafi ona zacząć: "Gdyby rannym słonkiem...", przerwać bo pani Prażmowska krzyczy: "Pani K. proszę mi rozmieszać farbę, bo mam pełne ręce..." A wiecie kto to p. Prażmowska? Jeszcze więcej tomów! Dekoracje, autentyczność kostiumów, karabele z puszek od sardynek, wyłogi z arabskich zawojów, kolumny z mat plecionych, kapitele z pudeł od "NAAFF", jakże tu wyliczyć wszystko. Toż igły do szycia worków szukano po sąsiednich arabskich wioskach, a ponoć nawet w stolicy Kwitnącego Pagórka przez dni osiem!

Czy podobna wyliczyć wszystkie kłopoty? Ale spokojnie do rzeczy, opowiadanie zaczyna się upodabniać do pierwszej próby z kostjumami.

Cóż za rejwach! Pani Prażmowskiej nie można znaleźć, zawaliła ją kostjumami (z półsetki) p. Więckowska. Ta ostatnia z rozwianym blond włosem, smarując imkarską kanapkę masłem dla zgłodniałego "Janusza", daje ostatnie polecenia jak przyszyć wyłogi do prześwietnego kontusza stanowiącego cocktail z "abaji", "kefij", pasa nomadycznego, podwiązanego "egalem".

Czy mnie oczy nie mylą, ależ to jest Terlecki, malarz, który w poszukiwaniu swego własnego, niepożyczonego stylu, kleci przydrożną kapliczkę.

Zmiłujcie się warjaci kochani, a czy rozumieliście dokładnie w tym okresie szaleńczych pośpiechów na co się porywacie? Czy nie zadrżał wam głos między jedną arją a drugą, że to ryzyko, czy warto tyle pracy wkładać, czy to nie jest zawracanie głowy? Jeżeli tak, to z tym większem uznaniem jesteśmy dla Waszego uporu.

A gdy zmontowano operę, gdy gruchnęła po Ziemi Świętej wieść, że junacy "zrobili" operę, gdy już odbyły się pierwsze przedstawienia — trupa odżyła, nabrała jeszcze "nieśmiałej" pewności siebie, gestykulacja stała się żywsza, nauczyli się co trzeba zrobić z rękami, tymi zazwyczaj zawadzającymi nowicjuszom długimi wiszącymi po obu stronach ciała przedmiotami. Głosy stały się pewniejsze, soliści zaczęli nieśmiało spoglądać w stronę widowni. Nawiązana została nieskrępowana nić z widownią nawet hołubce w mazurze dziarsko zabrzmiały, dziewoje i podwiki ze sceny spojrzały przed się śmiało, aż przyjemnie było patrzeć na tę gromadę aktorów, którzy poza sceną byli niczem innem jak rozhukanymi chłopakami i dziewczętami (przepraszam za kolejność). Jak to wszystko zakłopotane swym posłannictwem wyruszało z jednego miasta lub obozu do drugiego, by tam zdążyć na przedstawienie. Co za frajda włóczyć się po całym kraju, aż pedagogów gęsia skórka oblatywała! Personel imkarski i dzień i noc czuwał nad całością uszytych przez nich samych kostjumów — to góralowi "gacicki sie rozerwały", to narzeczonej gorsecik puścił, a karabela się nadszczerbiła, a słomy, którą Halka kaplicę miała podpalić, ogień się nie ima... Tysiące trosk na pozór nieznacznych a tak okrutnie ważnych, gdy już się na scenę wychodzi.

Z tuzin przedstawień opera odwaliła, całą Palestynę zjeździła, pokazała światu tutejszemu Polskę z jej kolorowej, najpiękniejszej strony. I za każdym razem dawała widzowi (poza tymi bywalcami, co za operą w ślad jeździli) przeżycia jak wachlarz różnorodne, od niewiary przez zainteresowanie do zachwytu. Za każdym razem wychodził podporucznik U. i stawał spotykany oklaskami przed swą dwupianinową orkiestrą (nota bene świetną) i tak srogie miny robił i tak wymachiwał batutą, jak nie przymierzając Toscanini albo Stokowski, gdy tamci prowadzili setkę grającego luda do boju.

Za każdym razem wyzywano po finale pp. Prażmowską i Więckowską, a te nigdy na czas nie zdążyły słomy z włosów wyciągnąć a rąk podołkiem obetrzeć, tyle tego harowania było za sceną.

Tylko pedagog K., któremu sądzono być żywym librettem, coraz mniej na widowni gadał, coraz mniej objaśniał, bo dzieciaki swymi roześmianymi nieco przyszminkowanymi buziakami i srebrnymi głosikami lepiej i skuteczniej to robiły.

Nie żeby pedagog od rzeczy mówił, Boże uchowaj. Opowiadał o folklorze, o konfliktach socjalnych (Janusz, Halka), o polichromji — a widownia tylko czekała kiedy kurtyna się podniesie, a zobaczą te barwy, te wyśpiewane konflikty, a usłyszą tę muzykę, za którą niech Bóg błogosławi i inicjatorów i wykonawców.

TADEUSZ S. WOŁKOWSKI

PRZY WIGILJI PAMIĘTAJMY O JEŃCACH POLSKICH

Dzięki zabiegom Ambasady R. P. w Waszyngtonie i przychylnemu stanowisku Rządu Stanów Zjednoczonych sprawa stałej pomocy jeńcom polskim w Niemczech została ostatecznie uregulowana i skoordynowana.

Na zasadzie umowy zawartej między Rządami Polskim i Amerykańskim, akcję pomocy jeńcom polskim przejął Amerykański Czerwony Krzyż. Koszty tej akcji pokrywane są z funduszów Lend Lease. — Równocześnie z wejście w życie powyższej umowy, co nastąpiło w połowie bieżącego roku, wstrzymana została wysyłka imiennie adresowanych paczek do jeńców, akcja, którą przez przeszło 3 lata prowadziły liczne i różne organizacje i komitety polskie na terenie całych Stanów Zjednoczonych.

Dotychczasowa akcja, jakkolwiek prowadzona z wielką ofiarnością przez Polonję Amerykańską, była zbytnio rozdrobniona, nieregularna i oparta na funduszach płynących z prywatnej ofiarności, niedostateczna w swych rozmiarach na zaspokojenie potrzeb naszych jeńców, którzy już piąty rok monotonnego życia spędzają "za drutami".

Komitety Polskie wysyłały paczki tylko na podstawie otrzymanych od jeńców "etykiet", a więc otrzymywali je tylko ci szczęśliwi, których etykiety dotarły do danego komitetu pomocy. Długi był to proces, bo od chwili wysyłki etykiety z obozu do czasu otrzymania paczki upływało conajmniej 12 miesięcy. Była to grupa uprzywilejowanych jeńców, która otrzymywała paczki. Lukę w zaopatrywaniu tych, którzy etykiet nie nadesłali lub ich od komendy obozu nie otrzymali, wypełniały w pewnej mierze paczki wysyłane przez Amerykański Czerwony Krzyż do ogólnego rozdziału wśród jeńców polskich. Paczki te były wysyłane co miesiąc w ilościach 8-15,000 z polecenia i na rachunek Rady Polonji. Wysyłano je ze składów Czerwonego Krzyża w Genewie w ładunkach grupowych na ręce mężów zaufania polskich jeńców, do ogólnego podziału.

Poza paczkami żywnościowemi, Rada Polonji wysłała za pośrednictwem Amerykańskiego Czerwonego Krzyża kilka większych transportów obuwia, bielizny, swetrów, skarpetek, mydła i specjalnych paczek dla rekonwalescentów.

Rozmiary pomocy jeńców, która płynęła z Ameryki, nie są znane w dokładnych cyfrach, poza tem co wysyłała Rada Polonji. Obecnie gdy akcja została zakończona, byłaby odpowiednia chwila na zebranie danych od poszczególnych komitetów i organizacji co do ilości paczek, odzieży etc. wysłanych do obozów. Cyfry te dały by obraz ofiarności Polonji Amerykańskiej a zarazem byłyby bardzo pomocne w obecnej i przyszłej akcji reliefowej.

Mimo braku tych cyfr wiadomem jest z listów mężów zaufania, że pomoc była niewystarczająca by zaspokoić potrzeby wszystkich jeńców. Paczki nadchodzące do obozu dzielono na 8 jeńców i często 6 do 8 miesięcy upłynęło zanim znowu przypadła kolejność na jeńca na otrzymanie nowej paczki do podziału.

Zakaz wysyłania imiennie adresowanych paczek wyeliminował grupę uprzywilejowanych. Obecnie imienne paczki wysyłać mogą tylko najbliżsi krewni jeńca, do pierwszego kuzyna włącznie, i to tylko za pośrednictwem Amer. Czerwonego Krzyża i na podstawie otrzymanej od jeńca etykiety.

Na zasadzie nowej umowy akcja pomocy jeńcom przybrała formę stałą, przyczem rozmiary jej zakrojone są na wielką skalę. Obecnie wszyscy jeńcy polscy, bez wyjątku i wyróżnień, mają zapewnioną wprawdzie skromną, lecz dostateczną i stałą pomoc.

Ta nowa akcja nie jest projektem, bo od kilku miesięcy funkcjonuje w całej pełni. Amerykański Czerwony Krzyż wysyła regularnie każdego miesiąca 56,000 paczek żywnościowych do wszystkich jeńców polskich (taka bowiem jeszcze ilość jeńców znajduje się w obozach) a zatem każdy jeniec otrzymuje jedną paczkę miesięcznie.

Ponadto w lipcu br. odszedł z Ameryki wielki transport wartości około $1,750,000, złożony z płaszczy, mundurów, ciepłej bielizny obuwia, swetrów, rękawic etc. wszystko zostało wysłane w takich ilościach, że wystarczy na kompletne wyekwipowanie każdego jeńca w ciepłe odzienie na nadchodzącą zimę. Transport ten już dotarł do Genewy, skąd został rozdzielony na poszczególne obozy.

Dzięki wczesnej i planowej wysyłce, jeńcy polscy nie odczują głodu i chłodu tej zimy.

Paczki żywnościowe Amerykańskiego Czerwonego Krzyża pakowane w pięciu "Packaging Centers" w różnych miastach Stanów Zjednoczonych. Liczba tych paczkarni stale wzrasta. Każda z paczkarni zatrudnia około 1000 ochotników i wyekwipowana jest w najnowsze urządzenia pomocnicze, tak że ich łączna produkcja przekracza już 250,000 paczek tygodniowo.

Zawartość paczek zestawiona jest według zaleceń fachowców w dziedzinie diety, z myślą, by w stosunkowo małej paczce dać jeńcowi jaknajwiększą ilość wartości odżywczych. Wysyłane obecnie artykuły żywnościowe dają w sumie zgórą 14,000kalorji. Jest to już poważne uzupełnienie skromnych racji obozowych, dostarczanych przez Niemców. Według otrzymywanych informacji, wartość kaloryjna dziennej racji obozowej nie przekracza 1600 kalorji.

Polish Women's Relief Committee otrzymał od Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, pozwolenie na wysyłkę paczek "sanitarnych" dla Polaków-jeńców, znajdujących się w niewoli, w szpitalach niemieckich.
Jest to grupa naszych jeńców nie objęta standartowymi paczkami, wysyłanymi przez Amerykański Czerwony Krzyż bezpośrednio. Paczki powyższe, t. zw. Sanitarne, będą zawierać przedmioty dla chorego, jak witaminy, pantofle nocne, koszule, maszynki do golenia, mydło, i t. p.

Poza żywnością i odzieżą, Amerykański Czerwony Krzyż zaopatruje jeńców w mydło, środki dezynfekcyjne, lekarstwa, opatrunki.

Wysyłka z Ameryki odbywa się w ładunkach okrętowych. Statki te płyną pod flagą państw neutralnych (Szwajcarji, Portugalji, Szwecji) i pod ochroną znaku Czerwonego Krzyża. Kilka już statków jest własnością Fundacji Czerwonego Krzyża w Genewie i służą stale i wyłącznie do przewozu ładunków dla jeńców wszystkich Zjednoczonych Narodów. Inne zaś statki są specjalnie na ten cel wynajmowane, w miarę zapotrzebowania. Mimo szalejącej wojny łodzi podwodnych i zniszczenia jakie ona sieje, statki z transportami Czerwonego Krzyża oszczędzane są rzez strony walczące i bezpiecznie dochodzą do Marsylji. Stąd cały ładunek przewozi się koleją do składów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie. Tam odbywa się przepakowanie i zestawienie przesyłek dla poszczególnych obozów. Praca ta zajmuje kilka dni, poczem transporty odchodzą do obozów rozsianych po całej Europie.

W tem miejscu nie kończy się jednak praca Czerwonego Krzyża. W głównym Biurze Czerwonego Krzyża w Waszyngtonie prowadzi się ścisłą ewidencję pokwitowań odbioru przesyłek z poszczególnych obozów. No podstawie dotychczasowych doświadczeń stwierdzono że przesyłki dochodzą do jeńców w całości. Brytyjski Czerwony Krzyż przeprowadził badania w tym kierunku. Wykazały one, że straty w czasie transportu przesyłek dla jeńców, wskutek kradzenia, uszkodzenia etc. nie przekraczają 0.15%.

Przeładunek w Marsylji odbywa się pod ostrą kontrolą delegatów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża (Szwajcarów). Wszelkie kradzieże paczek przeznaczonych dla jeńców są bardzo surowo karane przez francuskie sądy wojenne. Przesyłka do Genewy, a stamtąd do obozów odbywa się w zaplombowanych wagonach, po nadejściu wagonu do obozu plomby zdejmowane są w obecności męża zaufania jeńców. Dzięki właśnie tym wagonowym przesyłkom dostęp do paczek jest utrudniony i stąd tak niski procent strat.

Oprócz fomalnych pokwitowań, które masowo nadchodzą zarówno od mężów zaufania jak i poszczególnych odbiorców paczek, często nadchodzą od nich listy ze wzruszającymi słowami gorącej podzięki dla Rodaków z Ameryki, którzy zaopiekowali się ich ciężkim losem.

Oto kilka wyjątków z listów nadesłanych z obozów polskich z okazji Świąt Bożego Narodzenia:

"Kochani Rodacy:

Opłatek Wasz i paczki, choć z niewiadomych powodów przyszły już po okresie świątecznym, całkowicie spełniły swój cel. Za to Wam dziękujemy. O Wilji piszemy krótko i po żołniersku.

Była taką, jaką się spędza na biwaku. wspólna, skromna, duchem żołnierska i beztroska.

Łzy czy smętne myśli ukryliśmy głęboko na dnie serca — na twarzach była pogoda a na ustach kolenda i piosenka. Wiemy, że w najcięższym momencie wypełniania swego obowiązku nie jesteśmy sami, że tam daleko, Wy Rodacy, myślicie o nas.

Ta myśl zawarta w słowie, opłatku, paczce, odzieży krzepi nas na duchu i ciele i pozwala nam szczerze powiedzieć: "Bądźcie spokojni — jesteśmy sobą".

Dowódca Obozu Oflag II/EB
Kaleński Rudolf, pułkownik.
Dowódca Obozu Oflag II E/K
Szpunar Ignacy, podpułkownik.

*

Kochani Rodacy:

Wszystkim, którzy nawiązali z nami łączność duchową w Święta Bożego Narodzenia przesyłając nam opłatki z życzeniami oraz paczki żywnościowe, serdecznie dziękujemy i ślemy im nasze najlepsze życzenia i myśli.

Wieczór Wigilijny spędziliśmy w nastroju podniosłym i pełnym najlepszych nadziei na przyszłość.

O godz. 7-mej wieczorem do zgromadzonych przy choince w baraku kolegów przemówił w serdecznych słowach mąż zaufania jeńców polskich i szef komp. przywołując na myśl rodzinne wspomnienia i tych, którym w tej chwili nam brakuje. Zakańczając życzeniem abyśmy się jak najprędzej mogli z nimi połączyć, zaczęto dzielić się opłatkiem. Jakie były życzenia jednych dla drugich, opisać nie mogę.... W każdym razie były szczere, jednolite i owiane niezłomną wiarą.

Potem wspólna kolacja, uświetniona przysmakami z paczek od Was kochanych rodaków. Wzruszeni byliśmy tem, że o nas nie zapominacie a w chwilach tragicznych i ciężkich przychodzicie nam z pomocą. Wspólnie odśpiewano kilka kolend.

O godzinie 12ej w nocy odbyła się pasterka w jednej z sal przed ładnie urządzonym ołtarzem z przed którego po nabożeństwie przemówił do nas ksiądz francuski, nawołując do jedności i wytrwania.

Stalag VI J, Krefeld-Fielstenstein
K. Drela, mąż zaufania
Mikołajczyk, Szef Kompanji
M. Przybylski, bibljotekarz

*

Boże Narodzenie, święto ogniska domowego, spędzili jeńcy Oflagu VI E w poważnym nastroju, ulatując tęsknymi myślamy do Ojczyzny, do najdroższych rodzin i osób najdroższych sercu.

W dniu Wigilijnym, po złożeniu życzeń Starszemu Polskiemu Obozu, generałowi broni Inż. Leonowi Berbeckiemu, który przełamał się ze starszymi baraków i sal opłatkiem dostarczonym w obfitości przez Polski Czerwony Krzyż, Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Genewie imieniem Polonji Amerykańskiej i przez Ymcię, wzięliśmy gremialny udział w posterce odprawionej w świetlicy, gdzie na ołtarzu przystrojonym zielenią, widniała szopka własnej konstrukcji i na scenie jarzyła się udekorowana choinka. Polskie kolendy, odśpiewane przez obozowy chór czterogłosowy, podniosły znacznie uroczysty nastrój.

W salach barakowych łamano się tradycyjnym opłatkiem dostarczonym jak wyżej, mając dla siebie wzajemnie jedno tylko gorące życzenia, życzenie wspólne wszystkim jeńcom. Kolendy śpiewane w salach w czasie porannej i wieczornej modlitwy, umiliły nam jednostajne dotąd dni nasze. Komenda niemiecka pozwoliła nam śpiewać kolendy dnia 24.XII d godz. 1-szej w nocy.

Pożądaną niespodzianką i dowodem pamięci o nas, oderwnych wichurą światową od swoich, były świąteczne dary amerykańskie w postaci artykułów żywnościowych, odzieży, bielizny i obuwia. Rozrzewniającą również była pamięć o nas, jaką okazał Polski Czerwony Krzyż w Lublinie. Paczuszki jego, choć skromne a przygotowane przez kochane ręce matek, żon, córek oraz sióstr, zawierały wiele gorących uczuć, za któremi stęskniły się serca jeńców.

W oba dni świąteczne otrzymaliśmy normalne niemieckie pożywienie, ulepszone staraniem naszego starszego kuchni i różnorodnem mięsem, które po kawałeczku złożył każdy kto otrzymał z domu paczkę żywnościową.

Starszy Polski Obozu
Inż. Leon Berbecki, Gen. Broni.

*

Listy te nie wymagają dalszych komentarzy. Mówią one nam dużo, więcej niż proste słowa jeńców wyrazić są w stanie... Niechaj będą one skromną nagrodą dla tych, którzy nie szczędzili trudu i pracy i przez przeszło trzy lata nieśli pomoc i pociechę jeńcom polskim.

Wasz wysiłek i ich cierpienia nie pójdą na marne....

TEKA CZERMAŃSKIEGO



Z Polski podziemnej

FELIKS RODERYK ŁABUŃSKI

FESTIWAL MUZYKI POLSKIEJ W MONTREALU

(KORESPONDENCJA Z KANADY)

Wypełniona po brzegi sala, (2500 osób) rozentuzjazmowana publiczność, frenetyczne oklaski i owacje dla muzyki i wykonawców, stanowiły tło Festiwalu Muzyki Polskiej w sali Theatre St. Denis w Montrealu dnia 12 listopada. Festiwal ten zorganizowany został z okazji rocznicy 25-lecia Niepodległości Rzeczypospolitej Polski przez Komitet Funduszu Obrony Narodowej i Funduszu Ratunkowego w Kanadzie. By to pierwszy Festiwal Muzyki Polskiej w tym kraju, za który należy podziękować organizatorom tej wspaniałej manifestacji, wśród których wymienię przedewszystkiem Konsula Dra Tadeusza Brzezińskiego, z inicjatywy którego powstał projekt Festiwalu, oraz Inż. Jarosława Angermana, Sekretarza Komitetu, na barkach którego zcentralizowana była praca organizacyjna.

Udział w Festiwalu tak świetnego kapelmistrza jak Grzegorz Fitelberg, oraz dwóch znakomitych solistów Bronisława Hubermana i Witolda Małcużyńskiego zapewniły wysoki poziom koncertu, którego program reprezentował muzykę polską od Szopena do kompozytorów wyzwolonej Polski i składał się z następujących utworów: — Uwertura do opery "Halka" Moniuszki, "Pastoralny Tryptyk" Feliksa Łabuńskiego, Koncert F-moll Szopena (solista Witold Małcużyński), "Epizod na Maskaradzie" Karłowicza (w opracowaniu Fitelberga), Pierwszy Koncert skrzypcowy Karola Szymanowskiego (solista Bronisław Huberman), "Chmiel" Stanisława Wiechowicza.

Należy zaznaczyć iż wszystkie utwory, za wyjątkiem Koncertu Szopena, wykonane zostały po raz pierwszy w Kanadzie, gdzie dotychczas nic z muzyki orkiestrowej polskiej, za wyjątkiem Szopena, nie było wykonane, dlatego też Festiwal ten posiada znaczenie do pewnego stopnia historyczne, wprowadzając po raz pierwszy symfoniczną muzykę polską.

Przed kapelmistrzem stanęło zadanie nie lada: w ciągu trzech prób przygotować program z orkiestrą nie obeznaną i nie przyzwyczajoną do muzyki polskiej, do jej tradycji, rytmiki i dynamiki. Kto pamiętał znakomite wyniki, które Fitelberg osiągał w podobnych wypadkach na koncertach muzyki polskiej zagranicą, nie wątpił że uda mu się i tym razem wyjść zwycięsko i godnie zaprezentować polską muzykę Kanadyjczykom, lecz wyniki przeszły wszelkie oczekiwania: orkiestra Societe Philharmonique de Montreal grała doskonale, lepiej niż zwykle i wykonała program z zamiłowaniem i zapałem.

Soliści Huberman i Małcużyński, znani poprzednio w Montrealu, odnieśli sukces zasłużony i wielki, Huberman subtelnem i barwnem wykonaniem trudnego arcydzieła Szymanowskiego, Małcużyński nieskazitelnem i brawurowem odegraniem koncertu Szopena. Kompozycje polskie również odniosły wspaniały sukces u publiczności i spotkały się z bardzo pochlebną oceną prasy.

Debiut Fitelberga w Montrealu można śmiało nazwać rewelacyjnym: prasa jednogłośnie podkreśla wielkie walory artystyczne i techniczne tego świetnego kapelmistrza i niestrudzonego propagatora muzyki polskiej zagranicą.

Brak miejsca nie pozwala mi na cytowanie głosów prasy, entuzjastycznej i pochlebnej bez wyjątku, chciałbym jednak przytoczyć kilka wyjątków z pism, dotyczących ogólnej oceny Festiwalu:

"The Polish authorities in the city evidently determined to celebrate the 25th anniversary of their great republic fittingly, and they could hardly have done better than by this concert. For not only was the music for the most part new, but it was the means of introducing three of the most distinguished Polish musicians here, musicians of whom any country would be proud" pisze w "Gazette" Thomas Archer, uchodzący za czołowego krytyka w Montrealu; "One of the largest audiences for an indoor musical event in Montreal — except those held in the Forum — attended the Festival of Polish Music. The whole affair was a tremendous success: the music was almost wholly new to the audience, the orchestra played amazingly well in the circumstances and the three principals performed in accordance with the most exciting expectations" (Montreal Daily Herald). Prasa francuska również nie szczędzi pochwał: "Festiwal Muzyki Polskiej dał nam wieczór godny podziwu pod każdym względem. Wszystko było wspaniałe, od kapelmistrza do ostatniego skrzypka orkiestry" (Le Jour); "Polacy mają prawo być dumni ze swoich kompozytorów. Nie wszyscy z nich dorównują Szopenowi i Szymanowskiemu. Jednak mają wiele do powiedzenia i mówią to za pomocą muzyki dobrze zrobionej, oryginalnej i bogatej" (Jean Vallerand w Le Canada); "Był to wieczór triumfalny, z publicznością polską i kanadyjską, i dyrygentem i solistami pierwszego kalibru. (Frederique Pelletier w Le Devoir). W tym samym duchu wypowiadają się pozostałe pisma Montrealskie "Le Petit Journal", "Le Presse", 'La Patrie" i "The Daily Herald". Należy się spodziewać że ten wielki sukces zachęci inne środowiska polskie w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych do zamanifestowania bogactwa i piękna muzyki polskiej przez zorganizowanie festiwalów lub koncertów poświęconych muzyce naszej.



Witold Małcużyński i Grzegorz Fitelberg z Montrealu

H. NIECZUJA

List do Herminji Naglerowej

Pani Droga,

Gdy doszła mnie wiadomość o pobycie Pani w Palestynie, fala radości zalała mi serce, ocalałaś, żyjesz! Wzruszam się tak zawsze otrzymawszy wieść że ktoś z mych dawnych towarzyszy pracy żyje, istnieje, trwa, działa.

W ślad za wiadomością o Pani, przeczytałam w "Tygodniku Polskim" Jej wstrząsające opowiadanie "Chleb". Zapoznałam się z warunkami w których zmuszono Panią żyć, w ten sposób otrzymałam kontrastowe tło, na którem zarysowała mi się Twa postać — ta dawna, w tym naszym świecie.

Nosiłaś zawsze czarną suknię przybraną białym kolorem — jasną plamą: kwiatu, żabotu, koronki i wkładałaś jakąś złotą ozdobę: medaljon, broszkę

Nad czarną suknią jaśniała zgrabna, złotowłosa głowa, jaśniała twarz biała, przeświecająca różowo, niby muszla. Wązkie czarne brwi, długie czarne rzęsy, oczy niby płatki czarnego aksamitu. Byłaś cała niby trójbarwna symfonja złota, bieli i czerni, byłaś wykwintna w każdym ruchu, geście, słowie, od stóp do głów staranna i bez zarzutu. Przyznam się teraz, że my, zalatane społecznice, z zazdrością śledziłyśmy Cię. Znając Cię szereg lat nie widziałyśmy zmian: jasne czoło bez zmarszczek, kąciki ust nie załamane w żałosną linję, którą na naszych twarzach rysowały zawody i klęski.

Wspominam o tem, bo wyobrażam sobie twe udręki fizyczne tam w Kazachstanie. Twa niepokalana twarz marznąca na wichrze stepowym, nogi unurzane w głębokiem błocie, ramiona okryte chustką na zniszczonym płaszczu. Posłanie pod piecem w cuchnącej lepiance. Drewniana łyżka, niosąca strawę do spękanych ust, czyż to wszystko nie było dla Ciebie straszliwsze od głodu skręcającego wnętrzności.

Raz pojechałaś z odczytem do Lwowa, stanęłaś czarno-złota, upozowana, uosobienie kobiecego wdzięku, słuchacze oglądali Cię zdziwieni.

—Ta pani zapewne jest świetną prelegentką na wieczorach literackich. lecz my przyszliśmy na referat o sytuacji politycznej.

Nie spotkał ich zawód, usłyszeli doskonały referat. Sąd Pani o każdej sprawie był zawsze pełen umiaru i głębokiej mądrości, z Pani zdaniem musiał zgodzić się każdy, kto był szczerym patrjotą i istotnym demokratą. Gorąca miłość Ojczyzny i wielki szacunek dla wolności i praw jednostki— to były dwa imperatywy kategoryczne, decydujące o Pani sądach. Pamiętam artykuł, w którym skrytykowałaś ostro utwór poetycki, gdyż treść jego zraniła Twe uczucia patrjotyczne. Zadarłaś wówczas z pewną kliką, naraziłaś się na przykrości, lecz zawsze miałaś odwagę przekonań, dowiodłaś tego niejednokrotnie.

Interesowała cię każda sprawa społeczna i nic ludzkiego nie było Ci obcem, byłaś twórczą, lecz nie miałaś w sobie nic z artystycznego egocentryzmu. Hojnie i gorliwie swój czas i swe zdolności oddawałaś dla pracy społecznej. Ileż razy swym talentem dopomogłaś mi w propagowaniu sprawy w której tkwiło moje serce — sprawy opieki nad matką i dzieckiem polskiem.

Z wielką ciekawością oczekiwałam pierwszego tomu "Krauzowie i inni" a potem niecierpliwiłam się, kiedy ukażą się następne, bohaterzy tej powieści byli jacyś znani i bliscy, dyszeli tym spokojnym, głębokim, poważnym rytmem życia, który odczuwałam w Tobie.

Pamiętam jeszcze jedno, teraz chyba mogę o tem napisać. Pismo które redagowałaś "robiło bokami", usiłowałaś pokonywać trudności finansowe — lecz nie zrzekłaś się redaktorskiej pensji, narażając się na zarzuty, kilka z nas znało powód, Twą pensję brała bezrobotna koleżanka, której z pewnych powodów nie mogłaś oddać stanowiska.

Zwykle w liście podaje się wieści o sobie. Jestem tu na drugiej półkuli, nie korzystam jednak z przywileju życia łatwiejszego, od dwóch lat chora, bezsilna. Rozumiesz czem dla mnie jest nuda bezczynności, zbyteczność istnienia — tem czem dla Ciebie pobyt w Kazachstanie. Wiele cierpień osobistych dotknęło nas obie. Kropla to tylko w oceanie — lecz człowiekowi tak trudno wyzwolić się zupełnie i oderwać od własnej nędzy i bólu.

Życzę Pani, Kochana Herminjo, jaknajrychlejszego powrotu z dalekiej Ziemi Obiecanej do Własnej, tam gdzie pozostało serce.

OPINJE I ZDARZENIA

HYMN POLSKI PODZIEMNEJ

W jednym z numerów tajnego pisma, wychodzącego w Polsce okupowanej, ukazał się Hymn Polski Podziemnej: 'Naprzód do boju żołnierze!", śpiewany przez bojowników Krajowej Armji Polskiej. Jak stwierdza komentarz redakcyjny — pieśń ta powstała drogą konkursu i natychmiast po zaakceptowaniu jej — rozeszła się po całym kraju. Prosta jest jej forma i proste — ale pełne treści i mocy są jej słowa:

Naprzód do boju, żołnierze
Polski Podziemnej! Za broń!
Boska potęga nas strzeże,
Woła do boju Was dzwon.
Godzina pomsty wybija
Za zbrodnie, mękę i krew,
Do broni! Jezus Maryja-
Żołnierski woła nas zew.
Zorza wolności się pali
Nad Polską idących lat.
Moc nasza przemoc powali —
Nowy dziś rodzi się świat.
Godzina pomsty wybija
Za zbrodnie, mękę i krew,
Do broni! Jezus Maryja!
Żołnierski woła nas zew.
Za naszą wolność i waszą,
Bracia chwytamy za miecz.
Śmierć ani trud nas nie straszą.
Zwycięski Orle nasz — leć!
Godzina pomsty wybija
Za zbrodnie, mękę i krew,
Do broni! Jezus Maryja!
Żołnierski woła nas zew.

SKANDAL JUGOSŁOWIAŃSKI

Odstąpienie przez koalicję rządu wygnańczego jugosłowiańskiego w Kairze, opuszczenie przez misje aljanckie kwatery Michajłowicza, promowanie partyzanta Tita na marszałka (czy nie przesada?), cała nowa i paradoksalna sytuacja w Jugosławji stanowiąc "memento" dla wszystkich pokazuje zarazem mistrzostwo i rozmaitość metod roboty sowieckiej.

Rozbicie jugosłowiańskie, wbrew pozorom że chodzi tu o sprawy społeczne ma podłoże wybitnie narodowe, które Sowiety potrafiły świetnie wyzyskać na swą korzyść.

Przesadne może podkreślanie narodowo serbskiego charakteru armji Michajłowicza zostało wyzyskane przez bolszewików dla rozdmuchania separatyzmu kroackiego i rzuciło namiętnych i nieświetnie myślących Kroatów w objęcia Tita; jak w sprawie francuskiej spory z Aljantami tak tutaj spór kroacko-serbski wyzyskały Sowiety aby stać się niejako arbitrem i ugruntować swe wpływy.

Faktem jest że udało się Sowietom doprowadzić do paradoksalnej sytuacji że katoliccy Kroaci są w ich obozie, a w przeciwnym prawosławni Serbowie. Czyż to nie dowód gry naprawdę mistrzowskiej, która napewno wszędzie zapowiada niezwykłe niespodzianki a w każdym razie niezwykłe usiłowania.

Jak de Gaulliści nie są bolszewikami tak nie są niemi i Kroaci.

Ale jeżeli Francuzi dadzą sobie napewno radę z sytuacją, w którą weszli na zimno— Kroaci już dziś, już tu w Nowym Jorku pytają się z trwogą: co dalej będzie?

To pytanie jest też oskarżeniem polityki tych, którzy polityki europejskiej wciąż nie mają.

EDGAR MOWRER O TEHERANIE

Znakomity i bystry publicysta polityczny Edgar Ansel Mowrer napisał w "New York Post" dwa artykuły o pakcie Teherańskim. Uznając, że pakt przyniósł światu kilka cennych zdobyczy politycznych, jak współpraca trzech mocarstw w czasie pokoju i wojny, a przedewszystkiem deklaracja zniszczenia armji niemieckiej i niemieckiego przemysłu wojennego, autor mimo to oświadcza, że pakt był dla Narodów Zjednoczonych gorzkiem rozczarowaniem. Szczególnie niepokoi go brak formuły "unconditional surrender" w stosunku do Niemiec i zapytuje, czy w tem milczeniu nie kryje się możliwość kompromisu między zwolennikami surowych i łagodnych warunków pokoju.

O Polsce pisze Mowrer dosłownie: — "Przedewszystkiem zaś, dlaczego to milczenie na temat Polski? Politycy w tym kraju wiedzą doskonale, że problem polski, jeżeli nie będzie uzgodniony ze Stalinem, może podkopać podstawy pokoju. Jest stanowczo rzeczą zasadniczą, by między Polską i Rosją zostały nawiązane jakieś stosunki dyplomatyczne. Roosevelta uważano za jedynego człowieka, który mógł tego dokonać. Czy się mu to nie udało?" "Unikanie dyskusji na tematy graniczne jest przyznaniem się do różnicy zdań, a nie wyrazem harmonji."

Mowrer zwraca uwagę na nowe słownictwo paktu, a mianowicie na to, że zamiast określenia "United Nations" użyto frazesu "world family of democratic nations". Czy to oznacza — pyta autor — że zarzucono dawniejszą koncepcję zjednoczonych narodów świata, nowej i lepszej ligi narodów— na rzecz przyjemnego frazesu, za którego parawanem ma rządzić światem cztery czy pięć wielkich mocarstw? "Mamy tu do czynienia z nowem słownictwem, co oznacza może, że redakcję paktu powierzono Stalinowi i jego współpracownikom. Jeżeli tak, możemy powiedzieć sobie, że trzech wielkich mężów spotkało się w mistycznej atmosferze Wschodu, a rezultatem jest deklaracja rosyjska w formie, kremlińska w frazeologji i orjentalna w niejasności."

W drugim artykule pod tyt. "Need for European Federation", Edgar Mowrer zwraca uwagę na tragiczne skutki, jakie mogą wyniknąć z braku udziału narodów europejskich w obradach, które decydowały o losie Europy. Żaden z przedstawicieli trzech mocarstw nie miał prawa występować w imieniu Europy. Jeżeli oni zapomnieli, że mogli byli przegrać wojnę, gdyby narody europejskie nie odmówiły współpracy Hitlerowi, nie było w Teheranie nikogo ktoby im to przypomniał. Wbrew niekończącej się gadaninie o dekadencji Europy, obszar między prypeckiemi błotami a Oceanem Atlantyckim — czyli właściwą Europę, wciąż jeszcze zamieszkuje jednolita masa duchowa spokrewnionych, najbardziej na naszej planecie uzdolnionych ludzkich istot. Europę, nawet po rzezi wojennej, zamieszkiwać będzie 330 miljonów ludności. Nie brać tego faktu pod uwagę — jest dowodem braku odpowiedzialności, zaprzeczyć jemu lub zignorować go — jest jaskrawą ignorancją, przeciwstawić się jemu — to walka z przypływem morza. Te 30 narodów europejskich — to nietylko źródło prawie całej cywilizacji zachodniej, lecz jeszcze w roku 1939 świat zawdzięczał im 50 procent postępu w sztuce i nauce. Dlaczego Europa się nie zjednoczy, dlaczego w Teheranie nie poruszono sprawę federacji europejskiej? — zapytuje Mowrer i wyraża obawę, że między innemi powodami była zimna i wyrachowana wrogość wobec takiej federacji ze strony Unji Sowieckiej, Wielkiej Brytanji i w mniejszym stopniu ze strony Stanów Zjednoczonych.

Z MOTYWÓW TEHERAŃSKICH

Ciekawym przyczynkiem do rozmów Teherańskich jest wiadomość, jaką podaje Time-Magazine. Przemysł amerykański, dla którego problem powojennej produkcji był poprostu koszmarem, odniósł w Teheranie wielkie zwycięstwo. W poszukiwaniu rynków zbytu dla swej olbrzymiej nadprodukcji, która w czasie pokojowym mogłaby stać się katastrofą, zwrócił się z propozycjami do Rosji. Stalin zgodził się chętnie na rolę odbiorcy. Traktat handlowy przewiduje, że Rosja w ciągu pierwszych trzech lat powojennych zakupi od Stanów Zjednoczonych towarów za 10 biljonów dolarów. Plan Rosji jest gigantyczny, zamierza ona bowiem odbudować kraj w ciągu trzech lat po wojnie.

Towary i maszyny przemysłowe będą zapłacone częściowo w gotówce, częściowo zaś surowcami, których Stany Zjednoczone gwałtownie będą potrzebowały, jak manganez, tungsten, chrom, cynk i inne rzadkie, wysokowartościowe metale. Towary mają być zakupywane w Stanach na wolnym rynku bez udziału rządu amerykańskiego, który tylko w razie potrzeby będzie interweniował kredytami, gdyby Rosja nie dysponowała gotówką.

O POLSCE I ROSJI MIĘDZY DWIEMA WOJNAMI

Drugi odczyt Anatola Muhlsteina, z cyklu omawiającego zagadnienia polityki polskiej między dwiema wojnami miał za temat stosunki polsko-rosyjskie, nic dziwnego że zgromadził jeszcze liczniejszą niż pierwszy publiczność i tym razem, taką jak trzeba, to znaczy się, międzynarodową, intelektualną i polityczną.

I tym razem publiczność ta nie została zawiedziona danem jej było bowiem wysłuchać wywodu zarówno głębokiego jak błyskotliwego, stojącego na najwyższym poziomie oratorskim i będącego swego rodzaju majstersztykiem krytyki dyplomatycznej, który nam przypomniał, że dyplomacja jest sztuką prawdziwą i trudną. I tym razem prelegent, świadomy, iż przemawia do różnonarodowej publiczności, starał się wznieść ponad pasje, zająć stanowisko objewtywnie historyczne i mówić wszystkim to, co uważa za prawdę. Ten rys intelektualnej odwagi, tak właściwy Muhlsteinowi, sprawia że jego odczyty napozór beznamiętne budzą tak żywe nietylko intelektualne pasje.

Teza Muhlsteina o upadku myśli politycznej europejskiej, tak wymownie przedstawiona w pierwszym odczycie, została wzbogacona nowemi dowodami jaskrawo malującemi brak poczucia rzeczywistości we wszystkich, jak dowodził Muhlstein, kancelarjach dyplomatycznych europejskich.

Zdaniem prelegenta dwa zasadnicze niejako zaślepienia przedwojenne były to przekonanie, w całej Europie powszechne, o słabości Rosji, które uniemożliwiło jednolitą akcję antyhitlerowską i dało Hitlerowi pewność że bić się będzie tylko na jednym froncie, dalej zaś ślepa wiara w armję francuzką, co było niejako zapewnieniem dla Rosji, że nic nie ryzykuje, zawierając pakt z Niemcami.

Zdaniem naszem ta wiara była też podstawą polskiej polityki neutralności, którą Muhlstein skrytykował bezwzględnie; ona właśnie mogłaby być tej polityki najlepszą obroną obok obawy Polski, że Rosjanie wszedłszy do nas, nie zechcą wyjść, obawy, podkreślonej przez prelegenta.

Uprzedziwszy audytorjum, że przemawiając z francuskiej trybuny nie będzie mówił o tak zadrażniającym dzisiejszym stanie stosunków polsko-rosyjskich i trzymając się ściśle okresu, który omawiał, powiedział przecież Muhlstein wyraźnie i dobitnie co myśli o polityce Rosji wobec Polski, podkreślając w zakończeniu odczytu, że silna cała i naprawdę niepodległa Polska jest nietylko niezbędna dla pokoju świata ale wbrew zaślepieniu Sowietów a zgodnie z cyniczno dyplomatycznym aforyzmem Stalina,— także dla samej Rosji. Dowód wymowny i przekonywujący że polityka rosyjska przed wojną dotknięta była tą samą co inne ślepotą, że Rosjanie, w których dziś widzi się niemal nieomylność, też nie rozumieli nietylko ogólnego ale i swego interesu był napewno dla cudzoziemskiej publiczności rewelacją, dla nas zaś, choć wynikły z objektywnej analizy, cennym propagandowym atutem.

REMEBER MR. CHAMBERLAIN!

When the official announcement was made of the "successful" completion of the Moscow Conference, the world at large anxiously scanned the official statement for some reference to the weighty question of territorial boundaries for Poland and the Baltic States. When no such reference was to be found great disappointment was had.

Such apparent silence on this mooted question soon prompted many to ask the question: "What really happened at Moscow?", and "Has Moscow become a second Munich?"

In this regard, we, as many, felt justified in posting such questions. For we vividly recalled the scene at Munich, where one demand after another was granted to Hitler in an effort to stop the war. The world at that time was seized with a paralysis of spirit so strong that it did not re fuse Hitler. It simply threw up its arms in resignation and said: "What can we do?

The world today feels the same way about Russia. Hitler, in the sceme at Munich, wanted Czechoslovakia. It was given to him and he was then appeased. Stalin now wants a major portion of Poland and the Baltic States. Will he get what he is after? Will Stalin be appeased after the fashion of iHtler?



Rys. Zdzisław Czermański

Wielki pianista polski Artur Rubinstein, który odniósł tryumf wykonując koncert Chopina i "Symfonję koncertującą" Szymanowskiego na koncertach muzyki polskiej odbytych pod dyrekcją Rodzińskiego w Carnegie Hall.

Cordell Hull's assurance that no secret agreements were affected at Moscow is a good item for the record. Mr. Hull has been frank and honest in his past statements to the public. We see no reason to suspect that he has put off his integrity. But that is the crux of the situation. There is no mention of Poland and the Baltic States in the official statement released upon the completion of the Moscow Conference, and that silence on this subject is a source of annoyance.

The point at issue, namely, the fate of Poland and the Baltic States, is in our way of thinking important enough to get full consideration. It is, then, not a matter to be ignored, nor a matter to be presumed, but one that demands some heavy thought at the present moment while Russia is still somewhat (there may be some to argue this point), under our influence, receiving, as she is, every benefit and advantage of our Lend-Lease program.

These are times when truth, principles or consistency mean very little. What is promulgated and championed today, becomes as nothing tomorrow. Yesterday, it was attacks on dictatorship, totalitarianism and defense of democrcy; today, it is the widespread publicity and applause for the originad and one of the outstanding dictators, for totalitarianism and the enemies of democracy. Yesterday, it was the Atlantic Charaer and Four Freedoms; today, the Senate laughs to scorn the suggestion that they be incorporated into the recent Connally Resolution on post-war collaboration with other nations. What was true Sunday, is false Monday; what was a crime Tuesday, is a virtue Wednesday; what was white Thursday, is black Friday. Saturday is given to general confusion.

The American Catholic Hierarchy is by no means alone in its suspicious distrust of the Moscow meeting. On Sunday, November 8, Upton Close, well-known radio commentator, and one not especially known for his sympathies with Catholic thought, dared to say that Russia will take for itself one-half of Poland and give in return part of Prussia. If Mr. Close's prognostication were to materialize, it would mean that millions of Poles would be sold into captivity. Such a move would be most unfortunate, and definitely contrary to the principles of the Atlantic Charter. As Cardinal Hinsley, late Catholic Primate of England, was in the habit of saying over and over again, "the restoration of Poland is the test of our sincerity". He was perfectly right. For so it is. If we are sincere in fighting for democratic rights, for the Four Freedoms of the Atlantic Charter, we will see to it that Poland, and the Baltic States are restored. No expediency can be so great as to demand the sacrifice of such small nations.

This same feeling of "expediency" has made itself felt on the other side of the Atlantic as well as on this side. The London Times, commenting on the Moscow Conference, had this to say in a very significant paragraph: "Russia claims no extension of the frontiers held by her when Hitler unleashed his invading hordes in June, 1941; and after all that she has endured and achieved in the last two years any proposal to curtail them would be clearly resented as ill-conceived and ill-timed". In effect, the most influential and respected newspaper in all England thinks that it would be wrong to promote the subject of Poland and the Baltic States at this time. What the Times of oLndon is trying to say is that it would be "inexpedient" at this time — the very same excuse we are hearing on this side of the Atlantic.

The American Catholic Hierarchy, then. gives eloquent testimony, in its statement, that the Moscow Conference did not complete all the agenda that lay on the Conference table. This, it seems, is the very fundament of their grievance with the conference.

Catholic Standard and Times
Philadelphia (Nov. 19)

NOWE NARZĘDZIA WOJNY

Klęski floty japońskiej połączone z katastrofalnemi stratami należy przypisać nowym aparatom, w które zostały zaopatrzone okręty amerykańskie, a które skierowują ogień artyleryjski z precyzyjną celnością w mroku nocy. Japońskie okręty wojenne tonęły nie widząc nieprzyjaciela na oczy.

W lotnictwie nowością, zastosowaną z sensacyjnym sukcesem również na Pacyfiku, jest nowy typ nowego bombowca, który pluje niszczącym ogniem 75-mm armaty. Pocisk tej armaty waży 20 funtów i potrafi zatopić nawet kontr-torpedowiec. Jest to pierwszy wypadek wmontowania w kadłub samolotu tak wysokokalibrowej armaty.— Dotąd żaden samolot nie był wstanie wytrzymać wstecznego uderzenia jej pocisku. Tajemnica polega na wbudowaniu w mechanizm armaty nowego wynalazku, który to uderzenie amortyzuje do tego stopnia, że wrażenie lotnika jest podobne do wstrząsu samochodzisty, który najechał na kamień.

WOJNA WYMAGA WYSIŁKU

W dziale reportaży wojennych pojawiła się ciekawa nowość; firma Simon and Schuster wraz z Life Magazine wydała książkę "Target: Germany', która — jak wskazuje podtytuł — jest "official story" VIII armji lotniczej amerykańskiej, stocjonowanej na terenach Wielkiej Brytanji.

"Target: Germany" jest nietylko historją lotnictwa amerykańskiego, walczącego po bohatersku nad Europą, lecz również swojego rodzaju popularyzacyjnem opracowaniem technicznem, znakomicie ilustrowanem cyframi porównawczemi, dającemi obraz ogromu wysiłków, towarzyszącego każdemu lotowi bojowemu. Dowiadujemy się z nich n. p. iż przygotowanie lotniska dla 50-ciu bombowców wymaga 1,500,000 roboto-godzin jednego człowieka, musi objąć obszar 640,000 yardów kwadratowych a koszt jego wynosi $5,000,000.

Raid 1,000 bombowców na Niemcy wymaga pracy: 60,000 specjalistów-techników oraz 65,000 ludzi służby pomocniczej (szoferzy samochodów, składacze spadochronów, urzędnicy — meteorolodzy itp.) — a sama załoga tych bombowców wynosi 10 tysięcy lotników. Tak więc przygotowanie nalotu 1,000-ca bombowców wymaga wysiłku 10-ciu dywizji (!) wojska, szkolonego do specjalnych prac.

"Target:Germany" jest swojego rodzaju unikatem, który każdemu, kto nie jest lotnikiem w obecnej wojnie, uprzytomnić mo że ile wojna wymaga ofiar, pracy, wysiłku i pieniędzy.

CZASY ZMIENIAJĄ SIĘ

Wielka Encyklopedja sowiecka, a więc urzędowe wydawnictwo rządu sowieckiego w wydaniu z r. 1939 w ten sposób pisze pod literą "O" o "okupacji wojskowej":

OKUPACJA wojskowa — to tymczasowe zajęcie całego, lub części terytorjum jednego państwa przez siłę zbrojną drugiego państwa. Od połowy wieku 19 w prawie międzynarodowym wprowadza się odróżnienie między okupacją wojskową, jako czasową, a aneksją, jako ostatecznem zajęciem obcego terytorjum. Konwencja Haska z r. 1907 o obyczajach wojny lądowej w art. 42-56 ustala różnicę i reżym na terytorjum okupowanem. Konwencja ustala, że władza okupacyjna obowiązana jest utrzymywać spokój i porządek na zajętem terytorium, szanować istniejące w kraju prawa, utrzymywać stałą lokalną administrację i organy sądowe. Władza okupacyjna nie ma prawa zmuszać ludności do czynów skierowanych przeciw jej Ojczyźnie, musi szanować cześć, prawa rodzinne. życie, kulty religijne i prywatną własność ludności.

TEATR AMERYKAŃSKI

Niezwykle oryginalna aktorka amerykańska, która dzięki swej kreacji w sztuce "Lady in the Dark" otrzymała długotrwały kontrakt do Hollywood, Gertruda Lawrence — znów wystąpi na Broadway'u w sztuce "Susan and God" wraz z aktorem znanym z epoki niemego filmu, Konradem Naglem. Sztuka ta zainauguruje działalność pierwszego teatru miejskiego w Nowym Yorku, zorganizowanego przez mayora La Guardię, w gmachu, w którym mieścił się do niedawna t. zw. "Mecca Temple".

Dużym sukcesem cieszy się na Broadway'u murzyńska wersja opery Bizeta pod nowym tytułem "Carmen Jones" w przeróbce Oscara Hammersteina.

Najpochlebniejsze krytyki na przestrzeni całego roku otrzymała "trzy-osobowa sztuka bez trick'ów" Van Drutena "The Voice of the Turtle", w której występuje trójka znakomitych aktorów filmowych: Margaret Sullivan, Audrey Christie i Elliott Nugent. Prasa wyraża głośno zadowolenie, iż po serji idjotycznych sztuk, które raczej przypominały cyrk niż teatr — ukazuje się kulturalna komedja, oparta na djalogu i grze aktorów.

Swojego rodzaju ekscentrycznym wybrykiem stała się serja przedstawień makabrycznej groteski "Arsenic and Old Lace" w wykonaniu... dzieci, najmłodszych adeptów Professional Children's School.

POLSKA WALCZĄCA O 'TYGODNIKU POLSKIM"

W londyńskim organie Wojska Polskiego "Polska Walcząca", autor znakomitych i dowcipnych feljetonów tygodniowych "Bez black-autu" oraz popularny kierownik lwowskiej "Wesołej fali" p. Wiktor Budzyński, pisze co następuje:

Jedna z moich najwierniejszych Czytelniczek, której zawdzięczam niejeden temat feljetonowy, Kazimiera S. przysłała mi kilka egzemplarzy "Tygodnika Polskiego", wychodzącego w Nowym Yorku. Po pobieżnem nawet przeglądnięciu tych kilku luźnych numerów z różnych dat, trzeba szczerze pogratulować Komitetowi Redakcyjnemu. Pismo jest interesujące, żywe, zewnętrznie niezwykle starannie wydane. Co musi zastanowić i budzić zazdrość u tutejszych pisarzy, to wielka swoboda wypowiedzi na różne "aktualne" tematy, otwarte i wyraźne określenie stanowiska w szeregu spraw niezwykle dla Polski żywotnych. Niewątpliwie ten "Uncle Sam", jak go teraz dobrodusznie nazywają Brytyjczycy, ma duże zrozumienie trudnej sytuacji, w jakiej znaleźli się polscy pisarze, którym milczeć nie wolno.

Hallo "Tygodnik Poski!" Na ręce Pana, Drogi Panie Zenonie, przesyłam serdeczne pozdrowienia dla całej Redakcji i życzenia dalszej owocnej pracy.

DYWIZJA KRÓTKOWZROCZNYCH

Doskonały dowcip udał się aktorowi John Conway w rewji "The World's full of Girls". Wchodząc na scenę w okularach, oświadczył że nie widzi nawet ściany na odległość ramienia i że z tego powodu został zwolniony z wojska. Przypuszcza jednak, że armja niedługo znowu się nim zainteresuje, gdy przystąpi do stworzenia dywizji krótkowzrocznych — dla walki na bagnety.

CZY WIECIE, ŻE...

...polscy lotnicy z Lwowskiego Dywizjonu obchodzili ostatnio w Anglji trzecią rocznicę utworzenia "squadronu" i pierwszych jego walk. Święto wypadło skromnie, bo część załóg brała tego dnia udział w lotach bojowych. Mimo to jednak nie przeszło ono bez echa i upamiętnione zostało w kronikach dywizjonu jednem z najpiękniejszych zwycięstw; w dniu tym Lwowiacy zestrzelili 5 samolotów niemieckich na pewno, 2 prawdopodobnie a 2 uszkodzili i w tak przyjemny i pożyteczny sposób upamiętnili swoją trzecią rocznicę.

...okręty Polskiej Marynarki Wojennej od października 1939 roku do lipca 1943 roku przepłynęły ponad miljon dwieście pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, nie licząc działań na Bałtyku. Polskie okręty wojenne brały udział w działaniach na Morzu Śródziemnym. ORP. "Sokół" zmusił do poddania się włoski okręt podwodny i doprowadził go — wraz z eskortowanemi przez siebie statkami handlowymi — do portu na Malcie. ORP. "Dzik" zatopił ostatnio 4 statki niemieckie. Na wodach włoskich i sycylijskich walczyły również kontrtorpedowce polskie "Błyskawica", "Ślązak", 'Krakowiak" i "Piorun".

...polscy kolejarze jeżdżą na parowozach kolei irackich, obsługują stacje i budują nowe linje, które będą może najtrwalszemi z pamiątek, jakie Polacy zostawią po sobie w arabskim Iraku. Podkreślić należy, że polscy kolejarze mają w Iraku własną dyrekcję kolejową, warsztaty napraw lokomotyw, swoich zwrotniczych, naczelników ruchu i inżynierów.

...ludność polska w Afryce Wschodniej składa się z uchodźców zbiegłych z Rosji Sowieckiej. Do kwietnia b. r. przybyło ich przeszło 12,0000. Mężczyzn jest niecałe 10%, w tem połowa inwalidzi i starcy. Kobiety stanowią 44% a dzieci około 47%. Osiedla polskie prowadzą ciche i spokojne życie a mieszkańcy ich pracują na roli i w rzemiośle, odpoczywając po przebytem piekle na ziemi.

"W DRODZE"

Coraz regularniej przychodzi do nas tygodnik "W Drodze" wydawany w Palestynie i będący napewno jedną z najpoważniejszych publikacji emigranckich. Jest w nim wszystko: omówienia polityczne, doskonała literatura, nauka, wspomnienia i artykuły wojskowe — wszystko w najlepszym rodzaju podane żywo i przejrzyście, we wszystkim widać wysoką kulturę i nerw dziennikarski naczelnego redaktora — Wiktora Weintrauba.

Mnogość nazwisk pisarzy i uczonych, które spotykamy na łamach "W drodze" uświadamia nam ważność kulturalną skupiska polskiego w Palestynie, niedość u nas znanego, a tak ważkiego nietylko liczebnie ale i jakościowo.

ŚWIĘTY MIKOŁAJ

Przed znanym sklepem Bloomingdale'a na Lexington Avenue stoi jako reklama jegomość przebrany za Świętego Mikołaja. W pewnej chwili chłopczyk może dziesiecioletni zachodzi go z tyłu i kopie z całej swej siły.

"Za co?" woła Święty Mikołaj, trzymając się za siedzenie.

"Za przeszłoroczną gwiazdkę".

POLISH WEEKLY
Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168

Publishers:
Association of Writers from Poland

Editors:
Zenon Kosidowski
Jan Lechoń
Jerzy Tepa
Kazimierz Wierzyński

Subscription:
Monthly 40 cents
Half yearly — $2.40
Yearly — $4.50